PŁOCKIE IMPRESJE

STR. 3

FANTASTYKA

OSTATNIE PYTANIE

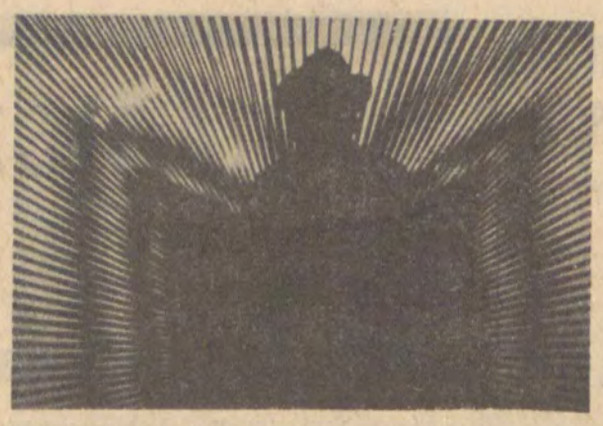

STR. 10

Magazyn

STR. 12

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 35 (925) 28 SIERPNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Bieżący numer otwiera ciekawy reportaż mówiący o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu. Jest to ciekawe odkrycie z dziejów literatury i plastyki, bowiem autor nie tylko przypomina historię powstawania słynnych portretów Witkacego, ale przytacza także szereg listów artysty nie znanych dotąd historykom literatury. „Asymetryczna dama" to modelka Witkacego, której portrety przetrwały do dziś i stanowią małe muzeum twórczości Witkacego.

Jerzy Wawrzak prezentuje Płock — nowe miasto wojewódzkie — głośne już w kraju ze swych inicjatyw kulturalnych.

W dalszym ciągu absorbuje nas lato. Stąd więc reportaż Henryka Dudka „Nad morzem bez zmian". Czy istotnie bez zmian?

Na kolumnie literackiej prezentujemy tym razem fragment prozy Eugeniusza Iwanickiego oraz wiersze młodych, debiutujących poetów — Janusza Wojdeckiego, Ewy Laśkiewicz, Wojciecha Wiśniewskiego i Piotra Perza. Natomiast Ryszard Binkowski w reportażu obyczajowo-kryminalnym pt. „Wyrwy" opowiada o szajce przestępców grasujących na peryferiach Łodzi. Tematykę kryminalną podejmuje również inny pisarz, Andrzej Ostoja-Owsiany w kolejnym odcinku „Notatnika prokuratora".

Z dziedziny fantastyki rozpoczynamy druk dużego opowiadania Isaaca Asimowa „Ostatnie pytanie". Dokończenie tego pasjonującego tekstu w następnym numerze.

Ponadto proponujemy wszystkie nasze stałe rubryki, felietony, informacje książkowe, omówienie programów telewizyjnych i wydarzeń ostatniego tygodnia.

Słowem — prezentujemy naszym czytelnikom numer ciekawy pełen różnorodnych materiałów i informacji.

RAFAŁ ORLEWSKI

ASYMETRYCZNA DAMA

1.

Przypomnijmy: Syn literata i krytyka, malarza i teoretyka naturalizmu w sztuce, propagatora sztuki ludowej Podhala. Niezwykle uzdolniony, studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, wiedzę artystyczną i filozoficzną zdobył jednak poprzez lektury, samodzielne poszukiwania i przemyślenia, a także wielokrotne podróże za granicę. Był filozofem, teoretykiem sztuki, malarzem, dramaturgiem, powieściopisarzem. I — człowiekiem niemal ekscentrycznym, wokół którego jeszcze za życia rosły anegdoty, legendy i... nieporozumienia. Nie brakło ich zresztą po śmierci artysty, jeszcze po wojnie zapomnianego, a potem „na nowo odkrytego" — i to z takim rozmachem, że można mówić o renesansie jego twórczości.

Mowa, oczywiście, o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, Witkacym — jak nazywali go inni i jak się sam lubił nazywać.

Nie ma potrzeby mówić tu o tym, o czym — dzisiaj — każdy uczeń szkoły średniej, nie wspominając o studentach polonistyki, może opowiedzieć, gdy chodzi o autora „Nienasycenia". Wszakże moje pokolenie „nie musiało" przygotowywać się do matury na temat: S.I. Witkiewicz. Do nas przyszło jego dzieło, zwłaszcza literackie, dużo później. A malarstwo? Właśnie... tutaj zaczyna się niecodzienna przygoda.

2.

Tutaj — to znaczy w Przygłowie (notabene wsi, w której urodziła się Seweryna Szmaglewska), położonym na trasie Piotrków Tryb. — Sulejów. Otóż pewnego dnia urocza żona miejscowego lekarza, p. Beata T. oznajmi-

Dalszy ciąg na str. 8

HENRYK DUDEK

NAD MORZEM bez ZMIAN

Od trzynastu dni budząc się, słyszałem ten sam monotonny szum załamujących się przy brzegu fal i straciłem prawie nadzieję na czekoladową opaleniznę. Zastanawiałem się przez chwilę, patrząc na granatowe morze za oknem, czy nie zerwać umowy w „Morskim Oku" i wyjechać w góry do jakiegoś uzdrowiska, gdzie o tej porze kurują się zagranicznicy. Postanowiłem porozmawiać z szefem „Morskiego Oka" i odrzucając kołdrę, wyskoczyłem na zapaszczoną podłogę. Po kilkunastu pompkach i skłonach poczułem ciepło pulsujące w żyłach. Wziąłem wiadro cynowe i zszedłem do kuchni restauracji, gdzie młode kucharki gotowały już wodę na herbatę i kawę dla gości. Po kwadransie stałem przed lustrem w hallu „Morskiego Oka" i oglądałem się w lustrze, poprawiając fryzurę ręką. Zauważyłem kilka wczasowiczek, siedzących przy oknie i czytających ilustrowane tygodniki, Palily Carmeny. Pewno z prowincji, pomyślałem i wyszedłem do kiosku kupić „Głos Koszaliński" i „Wodę Polarną", a także nową tubkę kremu „Nivea" na wargi, które coraz bardziej pękały po każdym graniu. I nie tylko po graniu...

Wróciłem do pokoju na piętrze, sprawdziłem poduszki przy klapach w saksofonie, przeczyściłem ustnik spirytusem i zabrałem się do czytania „Głosu Koszalińskiego". Ale od razu usłyszałem pukanie do drzwi i weszła ta dziewczyna, która wczoraj na dancingu siedziała obok naszego stolika. Była z rodzicami i chłopcem, który patrzył w nią jak w obraz święty na ścianie, co ją bardzo bawiło. Chłopak był studentem pierwszego roku, bo tak powiedziała mi, kiedy ją poprosiłem do tańca, gdy chłopak tańczył z matką. Nie miałem zamiaru jej poznawać bliżej, a to ze względu, że była młoda, bardzo ładna i zamierzała od września pracować jako nauczycielka w jakimś mia-

Dalszy ciąg na str. 11

HISTORIA OBYCZAJÓW XI

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

NA WAWELU

9 lutego 1549 roku, po wielomiesięcznej rozłące, Barbara ujrzała znowu swego wiernego rycerza. Nastąpiło to w Nowym Mieście Korczynie, dokąd przybył po przetrwaniu sejmowej burzy, wykonaniu monarszych obowiązków, które zresztą zakłóciła choroba. Przybył teraz jednak zdrów i radosny. Znów chyba przemyślano i uzgodniono szczegóły powitania. Nasza bohaterka czekała na męża w zamkowej altanie, jak wtedy mówiono — chłodniku. Gdy król wjechał konno na dziedziniec zamkowy, wyszła z owej altany witając zsiadającego z wierzchowca Augusta. Można domniemywać, że ta scena przypominała im przeszłe, z czasów przedmałżeńskich, przeżycia, kiedy to władca nawiedzał swą ukochaną. W Korczynie nie byli jednak sami, zaraz witał też Barbarę biskup krakowski, a odpowiedział mu jej ochmistrz Maciejowski. Później podano obiad.

Po biesiadzie dygnitarze, bez wątpienia inspirowani przez króla, udali się na jej pokoje by złożyć pokłon i wyrazy uszanowania. Barbara ujrzała wtedy pierwszy raz popierających małżeństwo królewskie senatorów: kanclerza Maciejowskiego i hetmana Tarnowskiego, za nimi stali inni wielmoże, m.in. kasztelan wojnicki Jan Spytek Tarnowski, kasztelan wiślicki Jan Mielecki i wielu innych „zacnych a godnych", którzy ustami kanclerza witali w niej swą panią.

Królowa promieniała, jeszcze tego samego dnia wysłała list do Mikołaja Rudego, który uprzednio opuścił Korczyn, dzieląc się z nim swą radością. Nazajutrz para monarsza, wraz z dygnitarzami, ruszyła do Krakowa. Po drodze pod sztandary królewskie ściągali inni panowie, m.in. przyłączył się wojewoda sieradzki Stanisław Łaski, biskup chełmiński Jan Drohojowski oraz kilku kasztelanów z rodzinami i poczty. Dla Barbary była to iście triumfalna podróż, miała obok siebie ukochanego, towarzyszyli jej dygnitarze, otaczały ją tłumy strojnych, zakutych w kosztowne zbroje dworzan i żołnierzy. 13 lutego orszak królewski wjechał do miasta.

Nie był to dzień piękny, korespondenci narzekali na „pogodę bardzo złą", w ponury, słotny dzień zimowy ujrzała Barbara pierwszy raz stołeczny Kraków. Wszystko wskazuje, że chłód i deszcz nie popsuły wszakże jej nastroju. Parę królewską witano bowiem z pompą, biciem w dzwony, całym ceremoniałem przysługującym głowom państwa. Przez bramy miejskie przeszli najpierw pacholikowie dworu królewskiego i dworów pańskich, za nimi dostojnie sunęli bogato przystrojeni dworzanie królewscy i magnaccy. Za nimi, w gronie panów koronnych wjeżdżał król. Tuż za nim jechała Barbara otoczona szpalerem drabantów i dworzan. Za nią żony i krewne dygnitarzy koronnych. Króla i królową witali najpierw rajcy kazimierscy, po nich kleparscy i krakowscy. Ulice miasta zaległy tysiączne tłumy. Z rozkazu królewskiego w chwili wja-

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

PRZYGOTOWANIA DO „WARSZAWSKIEJ JESIENI"

Tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska jesień" przyniesie wiele interesujących wydarzeń dla miłośników najnowszej muzyki.

W dniach 20—28 września na estradach koncertowych i scenach stolicy wystąpią zespoły, soliści z wielu krajów europejskich, a także z USA i Brazylii, wykonując najnowsze kompozycje swych rodzimych twórców. Nie zabraknie również klasyki współczesnej.

GŁÓWNY URZĄD CEŁ PRZYPOMINA

W związku ze wzmożonym ruchem turystycznym na wszystkich przejściach granicznych i zdarzającymi się dość często przypadkami nieznajomości przepisów dewizowych przez osoby przekraczające granicę, Główny Urząd Ceł przypomina najważniejsze z nich.

Zagraniczne środki płatnicze wolno wywozić wyłącznie na podstawie zezwolenia władz dewizowych tj. w oparciu o adnotacje w książeczce walutowej lub też na podstawie indywidualnego zezwolenia dewizowego.

Turysta wywożący za granicę środki płatnicze na podstawie książeczki walutowej powinien we własnym interesie żądać od celnika przystawienia stempla urzędu celnego potwierdzającego wywóz tych środków. (Główny Urząd Ceł książeczek walutowych nie stempluje).

Pieniędzy polskich wolno wywozić tylko do 1.000 zł, pod warunkiem wpisania tej kwoty do deklaracji celno-dewizowej. Natomiast bez wpisywania do deklaracji wolno wywozić tylko te pieniądze polskie, które przeznaczone są do wymiany w krajach tranzytowych na podstawie talonów NBP.

Nie wolno wywozić znajdujących się w obiegu monet srebrnych o wartości nominalnej 50, 100 i 200 zł.

Turyści wyjeżdżający za granicę samochodami powinni posiadać następujące dokumenty: polisy ubezpieczeniowe „Warty" w zakresie ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej (OC), od następstw nieszczęśliwych wypadków (NW) oraz autocasco (AC) — przy wyjazdach do krajów kapitalistycznych i do Jugosławii;

certyfikaty ubezpieczeniowe PZU — przy wyjeździe do krajów członkowskich RWPG (Bułgaria, Węgry, Czechosłowacja, Mongolia, NRD, Rumunia i ZSRR), stwierdzające posiadanie obowiązkowego ubezpieczenia autocasco na obszar tych krajów (certyfikaty takie można otrzymać w każdej jednostce PZU lub delegaturze Polskiego Związku Motorowego);

Książeczkę Międzynarodowej Pomocy Samochodowej (nie obowiązuje tylko przy wyjazdach do NRD, ZSRR oraz Czechosłowacji jeśli wyjazd do któregoś z tych krajów następuje na podstawie przepustki turystycznej lub tzw. przepustki małego ruchu granicznego).

TRUMAN CAPOTE WYSTĄPI W FILMIE

Znany pisarz amerykański Truman Capote zadebiutuje jako aktor filmowy. Zagra on rolę właściciela angielskiej posiadłości ziemskiej, w której popełniono morderstwo. Film pt. „Murder by Death" oparty jest na noweli Neila Simona o tym samym tytule.

NOWA POWIEŚĆ KAZANA

W Nowym Jorku ukazała się czwarta powieść Elia Kazana zatytułowana „Dubler". Jest to historia wielkiej kariery i zgaśnięcia sławy gwiazdy filmowej — idola lat dwudziestych.

Z tej okazji tygodnik „New York Times Book Revue" przypomina sylwetkę tego znanego reżysera filmowego i pisarza, pisząc, że jego głośne realizacje filmowe „Na wschód od Edenu", „Śmierć komiwojażera" czy „Tramwaj zwany pożądaniem" weszły do klasyki współczesnego kina amerykańskiego. Powieści Kazana „Ameryka Ameryka", „Układ" oraz „Zabójcy" cieszyły się ogromną popularnością.

ZMARŁ ADOLF DYMSZA

21 bm. zmarł w wieku 75 lat jeden z najpopularniejszych artystów polskiej sceny, estrady i ekranu — Adolf Dymsza. W ciągu swej ponad półwiekowej działalności artystycznej stworzył wiele kreacji filmowych i teatralnych, które zyskały mu sympatię milionów widzów i uznanie krytyki.

Adolf Dymsza, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Adolf Baginski, urodził się w 1900 r. w Warszawie i ze stolicą związany był do końca życia. Tu debiutował i po raz ostatni stanął na scenie, tu święcił swe triumfy. Działalność artystyczną rozpoczął w wieku 17 lat w teatrzykach półamatorskich, lecz w pełni jego talent objawił się na scenach, które tworzą historię polskiego kabaretu.

Największą sławę i popularność przyniósł Adolfowi Dymszy film. Po raz pierwszy stanął przed kamerą w 1918 r. w krótkometrażowej grotesce „Roztargniony krawiec" zaś jego dalsze sukcesy związane były z filmem dźwiękowym.

TRAGICZNA ŚMIERĆ KONRADA SWINARSKIEGO

W ubiegłym tygodniu prasa doniosła tragiczną wiadomość o katastrofie samolotu Czechosłowackich Linij Lotniczych. Na pokładzie tego samolotu odbywał lot do Teheranu wybitny polski reżyser i scenograf, Konrad Swinarski.

Stanęliśmy wobec rzeczy ostatecznych, wobec drogi twórczej, która zamknęła się już bezpowrotnie. Szukamy jakiegoś uogólnienia, jakiejś formuły syntetycznej, która określiłaby Konrada Swinarskiego—Artystę, określałaby model Jego teatru. Ktoś powiedział, że „Teatr Swinarskiego — to przede wszystkim Teatr Wielkiej Niezgody", a o samym Konradzie Swinarskim, że jest twórcą „totalnym". Rzeczywiście, twórczość Konrada Swinarskiego jest oparta na wewnętrznym rozdarciu, dramatycznych napięciach, grze sprzeczności, ale wszystko jest jednolite, podporządkowane bez reszty własnej wizji inscenizacyjno-scenograficznej. Owo budowanie przestrzeni scenicznej w głąb pozwala na „totalitarną władzę" nad spektaklem, władzę reżysera i scenografa, władzę pełnego Artysty Teatru. Konrad Swinarski był przecież z wykształcenia nie tylko reżyserem, w 1951 roku ukończył malarstwo w łódzkiej Wyższej Szkole Plastycznej, pod kierunkiem profesora Władysława Strzemińskiego, potem były studia reżyserskie, pierwsze kroki u Brechta w Berliner Ensemble i zaczadzenie teatrem brechtowskim. „Ja nawet nie wyobrażam sobie — powiedział Konrad Swinarski w 1961 roku — żadnego z dzieł naszej wielkiej literatury romantycznej: Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego wystawionych z pominięciem doświadczeń, jakie wniósł Brecht do europejskiego teatru". Tak była konstruowana „Nieboska komedia", „Fantazy", „Sędziowie", „Kłątwa". A potem Konrad Swinarski odchodzi od teorii i praktyki Brechta w poszukiwaniu własnego modelu teatru, którego cechą charakterystyczną jest uniwersalizm romantyczny. „Reżyseria bez nożliwości interpretacji — pisał w 1967 r. — materiału literackiego prawdopodobnie w ogóle by mnie nie interesowała"... „Czasami próbuję być lojalny wobec autora. Czasem potrafię być wierny autorowi, aż do zdemaskowania i skompromitowania go". W tym duchu powstają dwie kolejne inscenizacje Konrada Swinarskiego „Dziady" A. Mickiewicza i „Wyzwolenie" St. Wyspiańskiego. A więc teatr wieloznaczny i wielopłaszczyznowy, teatr w procesie stawania się. Oczekiwaliśmy nowych etapów w kształtowaniu tego modelu teatralnego. Tragiczna śmierć zaskoczyła Artystę w pełni sił twórczych. Konrad Swinarski miał czterdzieści sześć lat.

KAL

SUKCES ŁÓDZKICH TWÓRCÓW

Telewizyjna Wytwórnia Filmowa „Poltel", współpracując z naczelnymi redakcjami TVP, coraz szerzej wprowadza polski film telewizyjny na rynki zagraniczne. Dzieje się to m.in. dzięki prezentowaniu naszego dorobku filmowego na międzynarodowych festiwalach filmowo-telewizyjnych.

W bieżącym roku Telewizja wzięła udział w trzydziestu pięciu tego typu imprezach, osiągając niemałe sukcesy. I tak na przykład na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Pradze nagrodę za reżyserię uzyskał film pt. „Uszczelka", a program baletowy G. Lasoty pt. „Łanie", zaprezentowany na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym Programów Rozrywkowych w Montreux (Szwajcaria) otrzymał „Rose d'or de Montreux" — nagrodę specjalną jury.

Jeszcze większym sukcesem dla polskiego filmu telewizyjnego zakończył się X Światowy Festiwal Telewizyjny w Hollywood w styczniu br. Sukces ten powinien cieszyć szczególnie łodzian, albowiem w Hollywood główną nagrodę w kategorii dramatu zdobył film pt. „PROFESOR NA DRODZE", którego autorami są łodzianie: reżyser **Zygmunt Chmielewski** oraz reprezentujący łódzkie środowisko literackie pisarz i scenarzysta, **Henryk Czarnecki.**

Przypominamy, że „Profesor na drodze" był na życzenie widzów wielokrotnie prezentowany na szklanym ekranie i otrzymał specjalną nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania.

Autorom: Z. Chmielewskiemu i H. Czarneckiemu serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów twórczych.

(rb)

TELEWIZJA

(28.VIII — 3.IX.1975)

CZWARTEK, 28.VIII. — program I

18.45 LISTY i POLITYKA zapowiadają spotkanie z Ryszardem Wojną, który odpowie na pytania autorów korespondencji, zainteresowanych polityką międzynarodową.

20.25 Zwolennicy angielskich filmów kryminalnych z satysfakcją obejrzą po raz pierwszy wyświetlany w telewizji głośny film Roberta Fuesta „I WKRÓTCE NADEJDĄ CIEMNOŚCI". Grają w nim: Pamela Franclin, Michele Dotrice i Sandor Fles. Projekcja w kolorze (film dla widzów powyżej 18 lat).

Program II:

17.30 W repertuarze Kina Letniego — III odcinek pt. „SĘDZIA" filmu seryjnego CSRS „WYROK".

20.20 Renesans dramatów Ibsena w teatrze światowym oraz zainteresowanie tym repertuarem dramatycznym na scenach polskich — jest głównym tematem najbliższego wydania „LOŻY", prowadzonej przez Witolda Fillera (kolor).

PIĄTEK, 29.VIII. — program I:

20.20 „PEWNE OPOWIADANIE" — jest filmową komedią angielską o pisarzu — scenarzyście sztuk telewizyjnych, dla którego życie codzienne jest niewyczerpanym źródłem inspiracji. Film reżyseruje Jack Rondor.

Program II:

20.20 INTERPORT — powołany został w styczniu ub. roku, jako wspólna polsko-NRD-owska organizacja w dziedzinie gospodarki morskiej. Program filmowy Bogusława Wołoszańskiego zapozna z jego działalnością.

SOBOTA, 30.VIII — program I:

17.35 Polecamy uwadze „Spotkanie po latach z pierwszą polską Mistrzynią Olimpijską — Haliną Konopacką".

18.20 „STUDIO OTWARTYCH DRZWI", które każdy może odwiedzić i przedstawić swoją sprawę, przybliży nam ludzi i problemy Torunia oraz województwa.

20.20 „OPERACJA ŚW. JANUARY" — pod tym kryptonimem kryła się wyprawa amerykańskich gangsterów, przybyłych z określonym planem do Neapolu. Włosko-francuska komedia kryminalna w reżyserii Dino Risi uzyskała Srebrny Medal na MFF w Moskwie, 1967.

23.10 Propozycja relaksowa — piosenki Agnieszki Osieckiej i Katarzyny Gaertner, „umieszczone" w „Walizce pełnej snów".

Program II:

17.20 Kino Letnie wyświetli V odcinek pt. „MORDERCA" — kolejny film z kryminalnej serii CSRS „WYROK".

20.20 „LATO, LATO..." zrealizowano w ośrodku wypoczynkowym w Arturówku. Wystąpią w nim m. in.: Irena Jarocka, Halina Żytkowiak, Zofia i Zbigniew Framerowie, Jerzy Grunwald, Krzysztof Litwin, „Arabeska" i „Homo Homini".

22.10 WIECZÓR AUTORSKI prof. Szczepana Pieniążka, z udziałem zaproszonych gości, którym nie obca jest jego życiowa pasja — sadownictwo.

NIEDZIELA, 31.VIII — program I

15.20, 19.10, 20.15, 22.35 Czterokrotnie pojawi się plansza „BANKU MIAST". Tym razem z podjętych zobowiązań rozliczać się będą Kowary i Głuchołazy (kolor).

16.30 Po raz pierwszy oglądać będziemy w tv reportaż z Mistrzostw Europy w wyścigach zaprzęgów konnych — zawody odbędą się w Olsztynie.

21.30 XV Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie — koncert pn. „Gala Krajów Socjalistycznych" (kolor).

Program II:

17.40 „SENS ŻYCIA" to ostatni (VI) odc. seryjnego filmu CSRS pt. „WYROK", który wyświetli KINO LETNIE.

21.45 „MILION ZA LAURĘ" — komedia muzyczna Hieronima Przybyły, w której nieoczekiwane perypetie wiążą się z zaginięciem cennej, XVIII-wiecznej gitary (kolor).

PONIEDZIAŁEK, 1.IX, — program I:

20.20 Teatr TV wznowi „EPILOG NORYMBERSKI" — pierwsze widowisko typu „teatru faktu", według scenariusza i w reżyserii Jerzego Antczaka. Spektakl oparty jest na materiałach dokumentalnych związanych ze słynnym procesem w Norymberdze.

Program II:

17.30 Program II zaprezentuje „DZIEŃ WIETNAMSKI", który zakończy się ok. 23.00.

WTOREK, 2.IX, — program I:

18.45 W popularno-naukowym cyklu „FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY" — obejrzymy „Raporty rzymskie".

Program II:

17.35 Klub Filmowy wyświetli głośny film z Marleną Dietrich z 1942 r. „GRABIEŻCY". Dramat pięknej Cherry rozgrywa się w latach gorączki złota na Alasce, w roku 1900. Słynne gwiazdy partnerują: John Wayne i Rundolph Scott.

20.20 Obejrzymy reportaż z „Dni Kultury Staropolskiej w Łomży".

ŚRODA, 3.IX. — program I:

20.20 Teatr Małych Form wystawi miniaturę dramatyczną „PRZYKRA HISTORIA". Jest to tv adaptacja opowiadania Irvinga Shava w reżyserii Andrzeja Łapickiego. Jak wygląda sprzeczka małżeńska, zrodzona z zazdrości, zademonstrują: Zofia Kucówna i Andrzej Łapicki.

Program II:

20.20 W cyklu „Wielcy ludzie i muzyka" — obejrzymy program widowiskowo-muzyczny „DOKTOR FAUSTUS" w reżyserii Antoniego Halora i Józefa Gębskiego. Ukazuje on Tomasza Manna poprzez idee jego sławnego dzieła. Muzyka Bacha, Mahlera, Beethovena, Wagnera i Pendereckiego.

SPRAWY LUDZI

G A D

„Szła z mlekiem w piersi w zielony sad,
Aż ją w olszynie zaskoczył gad..."
(Bolesław Leśmian „Gad")

Mniejsza z oficjalną zoologią. Ja pojęcie gada mam własne — gadami były oczywiście wszelkie minione olbrzymy, długie na dwadzieścia metrów, wysokie do dziesięciu metrów. Gadami są współczesne, ciągle na nas dybiące, węże i żmije. Do gadów zaliczam także niektóre ptaki (głównie jadalne), a nawet ryby (od żadnej trucizny nie umiera tylu ludzi co od spożytych gadów — jeżeli teraz dodamy tych, których gady spożyły to włosy stają na głowie). Na tym wcale nie koniec, olbrzymie gady przeszłości wyginęły, ale została po nich skrzętnie wydobywana ropa naftowa, która jest powodem: a) zatrucia naszych miast przez spaliny poruszanych pogadzią ropą pojazdów (w konsekwencji tego rozrost raka, rozkwit nerwic i zawałów serca i nasilenie wielu innych ciężkich dolegliwości b) licznych wojen o ziemie nasycone pogadzią ropą.

Można zatem powiedzieć, że olbrzymie gady zginęły, ale odegrały się na nas niejako pośmiertnie i jadowicie tworząc niezwykle trudne problemy sanitarne, polityczne i militarne oraz ekonomiczne (w końcu taksówkę złapiesz, albo nie złapiesz zależnie od tego gdzie i w jakiej liczbie zginęły przed milionami lat olbrzymie gady).

Idziesz do restauracji, a przez dwa, gdzieniegdzie trzy dni w tygodniu podsuwają ci gadzika, który na współczesnym etapie ewolucji ukrywa pokrewieństwo z gadami, przybrawszy niewinną nazwę kurczaka, czy ryby... Odwiedzałem wielokrotnie pewnych uczciwych ludzi — nadeszła pora jedzenia — patrzę imają się gadów, i mówią, że śmieszne, że nie mam pojęcia o zoologii, daremnie ostrzegam! Mijały tygodnie i oto małżeństwo to stało się kłótliwe. „Chcesz dostać w dziób?!" „Bo jak cię dziobnę!", „Gdzie znowu odfruwasz?" Nie można było już ich odwiedzać, powoli zmieniali się w gady... Nikt nie chciał uwierzyć mojej ocenie. Chodziłem smutny, jak Jonasz po Niniwie i daremnie wołałem: „Strzeżcie się gadów, bo upadniecie, że tak powiem zgadziejecie. Byle kto wam zagra na fujarce i będziecie tańczyć w tak złej melodii."

Wreszcie doczekałem się jeśli tak powiedzieć sojuszu propagandowo-ideowego. Mam na myśli film: „Wążżż..." (prawdę mówiąc obrzydliwe i dziwnie głupie filmisko, ale lepiej mieć taki sojusz, niż żaden). Stary uczony zwariował, zamienia ludzi w gady, aby ocalić ich przed spalinami — jest nieświadomy w kwestii perfidnej roli spalinotwórczej gadów i ginie oczywiście ukąszony przez jadowitego gada.

Nareszcie się w tej sprawie wypisałem i czuję ulgę — ja jestem stanowczo gadom przeciwny — trzymam się ssaków i sam zamierzam ssakiem myślącym, ssakiem zdolnym do śmiechu pozostać...

Jedno tylko mam zmartwienie, czy smoki to gady, czy nie gady. Czy mądry książę Krak był gadobójcą, czy też nie. W ogóle ciągle zbyt mało myślimy, piszemy — zbyt mało wiemy o smokach. Czy naprawdę istniały, czy były gadami, a czy może istnieją. Jeśli istnieją to co robią, gdzie pracują, w której kawiarni można je spotkać. Jeżeli smoki nie istnieją to myśl o nich jest groźna — sprawa wymaga specjalnego studium.

BERNARD SZTAJNERT

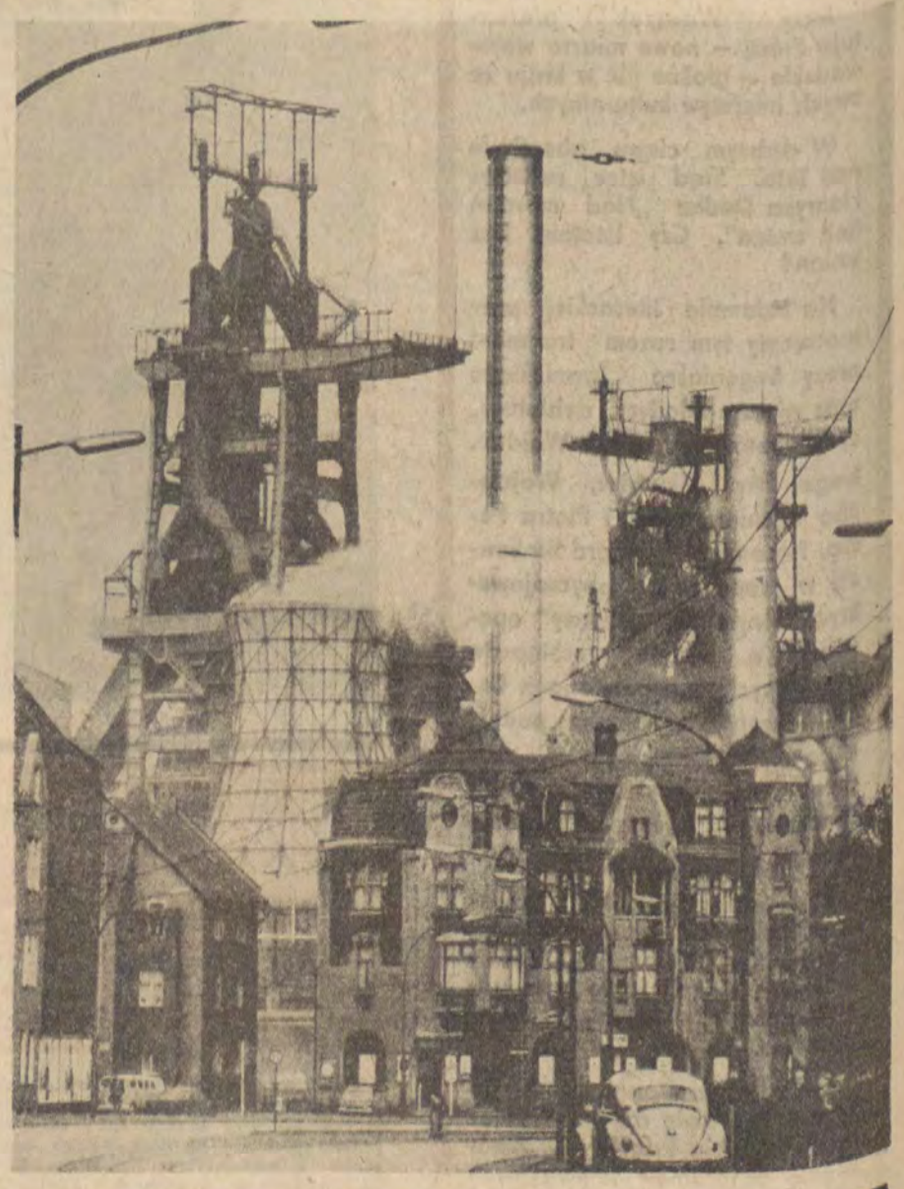

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŹDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

PŁOCKIE IMPRESJE

JERZY WAWRZAK

O Płocku można pisać w dwojaki sposób: o płockiej petrochemii, albo o płockiej kulturze. Wybieram to drugie, chociaż najlepiej byłoby tu przyjechać, zwłaszcza podczas czerwcowego Festiwalu Folklorystycznego i zobaczyć wszystko na własne oczy. Płock istnieje jeszcze w dwóch czasach: tysiącletniej przeszłości i dniu dzisiejszym wychylonym w przyszłość. Tego jednak to już na szczęście nie da się rozdzielić.

I

Z piątego piętra orbisowskiego hotelu „Petropol" panorama miasta jest najlepszą ilustracją powyższego stwierdzenia. Linia demarkacyjna jest wyraźna, po jednej stronie nowoczesna, wysokościowa zabudowa, jak wszędzie monotonne płaszczyzny betonu i szkła, po drugiej szacowna, spatynowana wiekami architektura przeszłości.

Kiedy się wyjdzie na ulice Płocka odczucia są inne, przejścia z jednej epoki w drugą nieostre. To musi się podobać nie tylko turyście. Mieszkaniec standardowego bloku, ludzki trybik w machinie petrochemicznego giganta, żyjący na tych dwóch biegunach ma pod ręką azyl: wąskie uliczki w cieniu gotyckich budowli, spacerowe tarasy nad Wisłą, pasaż Tumski i dziesiątki miejsc, gdzie może odetchnąć atmosferą wieków.

II

Poczucie historii. To się odczuwa na każdym kroku, rzuca się w oczy w najdrobniejszej publikacji. Faktyczna stolica Polski za Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Kolejno stolica księstwa, siedziba województwa, departamentu Księstwa Warszawskiego, carskiej guberni, powiatu od 1918 r. — by znowu stać się wojewódzkim ośrodkiem po ostatniej reformie administracyjnej kraju.

Wybór łatwy, miasto bez mała dziewięćdziesięciotysięczne, przemysł, oświatowe i kulturalne tradycje.

Janusz Mielcarek, absolwent etnografii UW, przez wiele lat działacz organizacji młodzieżowych a od trzech lat kierownik Wydziału Kultury Urzędu Miasta nie ma kłopotu z odpowiedzią na moje pytanie, które płockiego patriotę mogłoby zbulwersować: **jak Płock kulturalnie przygotowany jest do swojej roli po awansie?** Czy takie pytanie w grodzie Broniewskiego nie uznać za nietakt? Jednak uprzejmie otrzymuję wszystkie informacje, by nie było cienia wątpliwości. Oczywiście tam gdzie nie ma wątpliwości nie powinno być i dziennikarza, ale sądzę, że poza bilansem tego co jest (a co może u innych wzbudzić tylko zawiść, albo chęć... odwiedzenia tych stron wiele płockich inicjatyw wydaje mi się godnych spopularyzowania.

III

Dziedzictwo i to, co powstało w ostatnim piętnastoleciu „humanizuje" infrastrukturę. Niech to zilustruje najbardziej lapidarna wyliczanka:

Muzeum Mazowieckie, tradycja 150-letnia i największe zbiory secesji.

Towarzystwo Naukowe Płockie, powstałe w 1820 roku, najstarsze w Polsce, wydaje kwartalnik „Notatki Płockie".

Biblioteka im. Zielińskich, ponad 120 tys. woluminów, w tym tysiące cennych starodruków.

Szereg bibliotek specjalistycznych: pedagogiczna, techniczna i biblioteka miejska z czterema filiami.

4 domy kultury, 8 klubów, 5 kin.

Amfiteatr na wiślanej skarpie na ponad 3 tys. widzów.

Teatr, który nie nazywa się tylko teatrem.

Co w planach? (niektóre pozycje już w realizacji).

Budowa Biblioteki Ziemi Płockiej. Na ten cel od trzech lat gromadzone są fundusze. W ten sposób jakby przewidziano wcześniej wojewódzki status Płocka i nowe obowiązki. Obecnie rolę biblioteki wojewódzkiej spełnia biblioteka w Kutnie, bezkonkurencyjna do tej rangi.

Remont i adaptacja byłego spichrza na zbiory etnograficzne.

W Szkole Muzycznej adaptacja pomieszczeń na salę koncertową.

Salon „Desy".

Budowa Domu Aktora.

Powołanie Kameralnej Orkiestry Symfonicznej.

Zamierzenia ambitne, ale realne, które w przyszłości pozwolą zlikwidować pewne luki w bazie kulturalnej, gwarantując jej wszechstronny rozwój. Z drugiej zaś strony zaspokoją rodzące się nowe potrzeby, już odczuwalne, choćby ten salon „Desy".

IV

Od lat skutecznie zrywa się z izolacją zakładów przemysłowych od dzielnicowych czy miejskich organizmów. Słowa „to dla naszej załogi" zastępuje się nie wielkopańskim gestem, lecz zrozumieniem: „to dla środowiska". W nie tak dawnej przeszłości w płockich zakładach takie stanowisko nie było jeszcze oczywistością. Od kilku lat jest inaczej. W Wydziale Kultury chwalą sobie współpracę. Korzyści, jak zwykle, obopólne. Kombinat posiada wielofunkcyjny Dom Kultury i Techniki. Kombinat posiada, ale jest to również własność miasta, jego mieszkańców. DKiT ma interesujący program działania, pomyślany racjonalnie, tak, aby uwzględnić największy wachlarz zainteresowań, od najmłodszych, dzieci i młodzieży, po emerytów. Działają tu zespoły, które od lat odnoszą sukcesy: folklorystyczny, muzyczny, nawet... kabaret. Współpracuje na co dzień z teatrem, który daje tu przedstawienia.

Bardziej „zamkniętą" działalność prowadzą wśród budowniczych kombinatu. Głównie z myślą o młodzieży z Ochotniczych Hufców Pracy działa Klub „Relax".

V

Przemysł odgrywa tu rolę kulturotwórczą w najszerszym aspekcie. Oczywiste jest, że bez petrochemii nie byłoby tu Filii Politechniki Warszawskiej, która obecnie już może poszczycić się rzeszą 1100 studentów. Filia nie tylko rozwiązuje sprawę wysoko kwalifikowanych kadr dla kombinatu i innych zakładów, ale wpływa na aktywność życia umysłowego, korzystnie zmienia strukturę społeczeństwa, czyni je bardziej otwartym, chłonnym, aktywnym.

Pomnik W. Broniewskiego

Powstała szybko wyższa uczelnia, stworzono jej odpowiednie warunki do nauki i studenckiej egzystencji. Gorzej było z działalnością „pozastatutową". Po prostu nie było gdzie. W bieżącym roku władze miasta przekazały nie cieszące się frekwencją kino „Mazur" na klub studencki. Przy wydatnej pracy społecznej studentów powstała bardzo ładna placówka, gdzie znalazły swą siedzibę: teatr amatorski, zespół muzyczny, kabaret „Veto".

VI

Teatr Płocki to temat na oddzielne studium, ale... za kilka lat. Nikt nie chce, i chyba słusznie, wypowiadać się na jego temat po kilku miesiącach działalności. Ważne, że teatr jest. Wyczekiwany, wymarzony, po bez mała czterdziestoletniej przerwie, znów na miejscu. Przyozdabia centrum nowoczesną sylwetą i już samą koncepcją statutową teatru-ośrodka kultury stwarza nadzieję na powstanie przybytku sztuki, który stanie się niezbędny płockiej społeczności.

Grunt pod działalność teatru był od dawna przygotowany. Od lat działa Towarzystwo Przyjaciół Teatru. Żywe były kontakty z objazdową sceną Teatru Ziemi Mazowieckiej, myślano o stałej filii tej sceny. Zapotrzebowanie społeczne było żywo wspierane inicjatywą władz. Budynek teatru oddano we wrześniu 1974, a już w styczniu 1975, w rocznicę wyzwolenia Płocka odbyła się premiera „Krakowiaków i górali". To był ogromny wysiłek, duża sprawność organizacyjna i... odporność psychiczna **Jana Skotnickiego**, dyrektora teatru, który z prorektorskiego stolca warszawskiej szkoły aktorskiej przeniósł się do Płocka z grupą absolwentów.

Potem posypały się następne premiery płockie „Romeo i Julia" „Młoda Polska", „Oskarżeni", „Kordian" „Słoń". Po inauguracji niektórzy krytycy kręcili nosami. Daj im Boże zdrowie. A koncepcji dyr. Skotnickiego trzeba tylko przyklasnąć, trudzi się by zdobyć masową widownię — i ma rację. I nie rezygnuje z ambicji. Dla mnie takim przykładem jest włączenie do repertuaru „Słonia" Aleksandra Kopkowa, sztuki pięknej w swej groteskowej poetyce rzeczywistości pewnego okresu, ale trudnej i wieloznacznej. Znam ją, niestety, tylko z „Dialogu", w sierpniu aktorzy na urlopach. Dodajmy jeszcze, że to prapremiera polska. Wiele renomowanych teatrów tej sztuki „nie dostrzegło", a właśnie tutaj...

VII

W mieście Władysława Broniewskiego nie mieszka ani jeden pisarz. Cóż, chyba bliskość Warszawy, która oferuje więcej, a raczej coś innego. Tak, że mistrz Władysław jest sam w rodzinnym mieście, chociaż nie osamotniony. Jego wspaniały pomnik dłuta Gustawa Zemły nie omija żadna wycieczka.

Z „licencjonowanych" twórców jest spora grupa plastyków, członków ZPAP, jedenastoosobowa delegatura, a w przyszłości pewnie oddział. Artyści w różnym wieku i z rozmaitym dorobkiem twórczym, uprawiający rysunek, grafikę, malarstwo, rzeźbę. Laureaci dziesiątków nagród, wystawiający w całym kraju i za granicą. W tematyce swej twórczości nie sztampowo regionalni, ale z ambicjami o uniwersalnym wymiarze. Ludzie zasłużeni dla miasta. Warunki do pracy mają wyśmienite, są tu piękne plenery, jest gdzie wystawiać. Nie są egoistami. Aktualnie odbywa się plener plastyków z WSSP w Toruniu. Kilka lat temu był plener międzynarodowy. Tradycyjnie po każdym takim spotkaniu wiele ciekawych prac wzbogaca zbiory miasta.

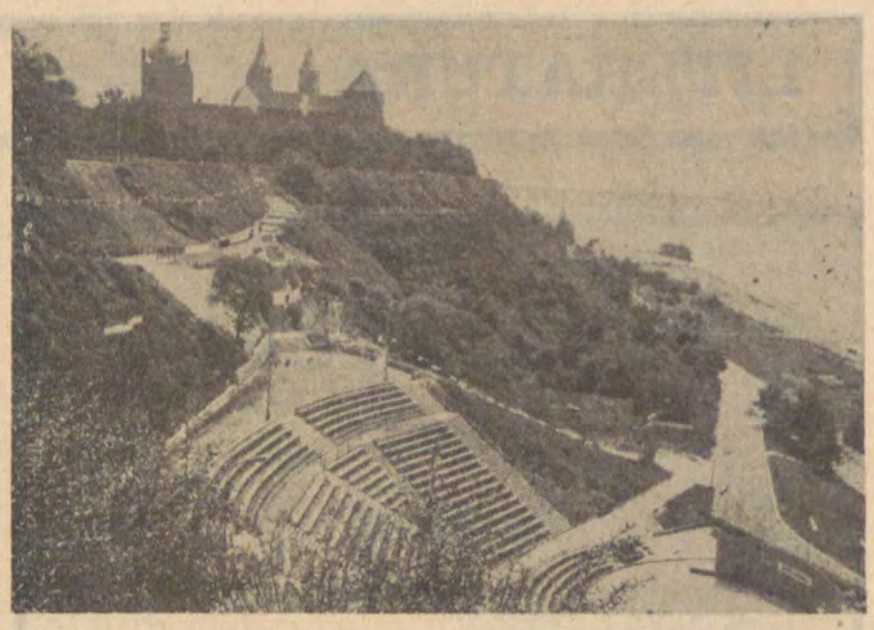

Amfiteatr

VIII

Nawet bardzo powierzchownie dotykając płockiej rzeczywistości kulturalnej trzeba zastanowić się nad pewnym fenomenem jakim są organizowane tu od dziewięciu lat **festiwale folklorystyczne.** Szerokiej publiczności serwuje się głównie za pośrednictwem TV Sopoty i Opola i tym podobne imprezy, natomiast te autentyczne wartości nie mają szczęścia aby przeniknąć do powszechnej świadomości.

Imprez o podobnym charakterze jest w kraju sporo (Kazimierz n/Wisłą, Nowa Słupia, cepeliada w Warszawie, Targi Dominikańskie w Gdańsku, Mielec, „Jesień Tatrzańska") ale festiwale płockie należą do najstarszych i cieszą się autentycznym powodzeniem. I to każdego roku, od dziewięciu lat, co świadczy że impreza się nie „opatrzyła", wzbogacana o coraz nowe pomysły. Przeglądając starannie wydane informatory festiwalowe, które są i dokumentem i ciekawą lekturą, trzeba stwierdzić, że chyba wszystkie ludowe zespoły o większym dorobku przewinęły się przez płocki amfiteatr. Nie sposób je tu wymienić, podkreślając tylko ich różnorodność i reprezentacyjność. Festiwalom towarzyszą, czy raczej są ich częścią, **jarmarki sztuki ludowej.** Organizatorzy także zadali sobie trud ich zdokumentowania, w dwóch starannie wydanych i opracowanych albumach **Mariana Pokropka.** Czytając, oglądając reprodukcje, narasta przekonanie, że trzeba to w przyszłym roku koniecznie zobaczyć.

Teraz może tylko dwie refleksje, wyróżniki płockiej imprezy. Nacisk jaki się kładzie na autentyczność folkloru, eliminowanie stylizacji czy pseudoludowości. To bardzo ważne. Dalej, troska o zespoły małe, często mało efektowne, ale prezentujące wartości unikalne. Dotyczy to także debiutantów, jeszcze bez rozgłosu i laurów, stwarzając im szanse na prezentacje przed szeroką publicznością.

Wreszcie związki z... przemysłem. Jakże by inaczej, ale to wcale dobrze. Patronat petrochemii, Zarządu Głównego Zw. Zaw Chemików to nie tylko mecenat finansowy, ale i otwarcie współpracy z dziesiątkami ludowych zespołów, którym patronują chemicy w całym kraju.

Długo by rozwodzić się o korzyściach wynikających z pielęgnowania kultury ludowej, często jej reaktywowania. Są i przyczyny prozaiczne: moda na ludowe sprzęty, ozdoby, dzieła sztuki i jakieś zapotrzebowanie „psychologiczne" wynikające z rodowodu nie tylko płockich robotników. Ludzie, którzy wyszli ze wsi bez sentymentów, po latach już w innej skórze człowieka miasta, odkrywają w sobie pewne tęsknoty, Ale to dobre resentymenty, bo rozwijają wrażliwość, poczucie estetyki, piękna zamkniętego w prostej formie, jaką posługuje się ludowy twórca czy w trudzie muzyka, choreograf, odtwarzającego i ocalającego przed przemijaniem sztukę bliską sercu.

Fragment dawnego Zamku Książąt Mazowieckich — siedziba Muzeum Mazowieckiego

IX

Spacer po ulicach Płocka. Łatwa do opanowania topografia. To dzięki Wiśle. W odróżnieniu od np. Warszawy miasto nie odwrócone od rzeki. Muzea, kościoły, zabytkowe kamienice. 200 tysięcy turystów rocznie, ale to nie za wiele bo w większości wypadków jest to „zaliczanie" Płocka po trasie autokarem. Trzeba tu się zatrzymać na dłużej, pochodzić po mieście wolno, popatrzeć i pomyśleć Jest nad czym i o czym, w tej symbiozie godnych siebie dwóch czasów.

X

Na hotelowym parkingu obserwuję ruch na pobliskim postoju taksówek. Długa kolejka niknie momentalnie, znów się tworzy, zmniejsza. Fiaty, wołgi, warszawy podjeżdżają bez przerwy. Po drugiej stronie szerokiej alei wizytówka: Osiedle Tysiąclecia (ok. 10 tys. mieszkańców) ciąg wysokościowych bloków i przybytków Merkurego. Ktoś mi z żartobliwą złośliwością powiedział, że to pierwowzór warszawskiej Ściany Wschodniej. Skala oczywiście inna, ale sugestia silna, narzuca skojarzenia. Tak czy inaczej, oprócz tysięcy mieszkań, poprawia samopoczucie, satysfakcjonuje

Trzeba wyjeżdżać, a w pamięci wrócić przy pierwszej okazji. Bez doraźnej potrzeby, ot tak sobie jak zagląda się do miejsc, gdzie człowiek dobrze się czuje.

Płocka „Ściana Wschodnia"

4 RAZY DEBIUT

EWA LAŚKIEWICZ

★ ☆ ★

Zarezerwowałam sobie miejsce na ziemi
kilka metrów tylko dla siebie
Bronię straconej pozycji
odpierając ataki wroga
„Obcym wstęp surowo wzbroniony"
krzyczą tablice żygając czerwienią liter
Mój mały sześcian
pomaluję na kolor biały
aby móc dostrzec ślady
pozostawione przez obcych
Nie ma tam nic i jest wszystko
Jest świat, który wyczarowuję
kładąc się wieczorem do łóżka
Czas jego istnienia odmierzają
wskazówki mojego zegara.

JANUSZ WOJDECKI

★ ☆ ★

Spójrz dookoła nie wiem może dojrzewa gwiazda
leci wysoko nad szczytami moich płuc
to gwiazda twojej skóry ukwiał twoich płuc
to gwiazda krwi — najciepiejszy kwiat twojego ciała

Jest daleki smutek autostrad kamienie gór
pola roślin rosnących
Niech znają miasta kraje wolność twojej krwi
i zblakłe oczy co zmęczone są asfaltem
Gdy znajdą na twej skórze szlak śluzu moich ust

Długie pociągi Jasne światło stacyjnych knajp
gdzie starzy kolejarze setkami wódkę piją
zamknę w wilgotnej muszli twoich warg
Więcej czekaj Wszystko się zdarzyć może Żyję

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

★ ☆ ★

Bo ja jeszcze się kochaniem słodzę
Pamięć sączę Kroplówko
W głuchym szpitalu a w przednówku —
Tylko Kasandra szczerzy korzenie
Całe akacje pod ramiona sadza
kocha nie kocha (milczenie)
to taka wróżba akacjowa
nielicha zabawa

★ ☆ ★

Jesteś mi już tylko kobietą
I mówić ci zdołam — Pani
Twarz twoja jest ciągle młoda
Ja skazy na płótnie odnawiam ze źródła
To Ciebie odmawiam
Gdy stuka ktoś do drzwi

PIOTR PERZ

★ ☆ ★

W łagodnej panoramie
szaf komód i stolików
W niewyczuwalnej perspektywie
małego pokoiku
gdzie promienie słońca matowieją
jakby chciały rzec „przepraszam"
W tym młynku sprzętów i zdarzeń,
które pozornie nie istnieją,
stały naprzeciwko siebie dwie postacie
dwaj mali chłopcy
milczeli jednocześnie oddalali się od siebie
gdy po latach spotkali się
w innej ramce
i pod innym słońcem
przeszli obok siebie
gdyż już nie mieli twarzy

Facet w niezgrabnej marynarce

Przychodzi facet...
facet w niezgrabnej marynarce....
Z mieszaniny dnia...
wylania się...
facet w niezgrabnej marynarce...
mówi... pali papierosa... dużo... dużo papierosów...
Oświęcim... reportaż...
Wyszczerbiona perforacja słów...
„Nie ma śmierci
Jest tylko życie do końca"...
Jestem wstrząśnięty...
To wszystko...

WIZYTA

EUGENIUSZ IWANICKI

„Chciałbym widzieć się z towarzyszem sekretarzem" — powiedział, rozglądając się z zaciekawieniem, bowiem upłynęło sporo czasu, kiedy był tu po raz ostatni. Ale wtedy siedziała tu inna sekretarka i za drzwiami obitymi głuszącą dermą pracował także inny towarzysz. Także rozmowa wówczas była inna niż ta, którą odbędzie z obecnym sekretarzem. „Chwileczkę" — sekretarka uniosła słuchawkę, wcisnęła czerwony przycisk: „Towarzyszu sekretarzu, czeka redaktor Kostrzyniec. Dobrze, rozumiem". — Uśmiechnęła się do Igora, ukazując ładne, równe zęby. „Skąd mnie znacie?" — zdziwił się. „Stare dzieje. Czy nadal pijecie kawę po turecku?" „Tylko po turecku" — patrzył na twarz dziewczyny i w żaden sposób nie mógł przypomnieć, gdzie i kiedy widział tę kruczowłosą piękność. Przecież niemożliwe, aby zapomniał, aby nie zwrócił uwagi na tak egzotyczną urodę. „Proszę towarzyszu, sekretarz czeka. Nie wysilajcie pamięci, nie spotkaliśmy się, to ja was znam z „Wiadomości", z wystąpień... Wchodźcie, śmiało".

Igor nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły miękko odsłaniając szary krajobraz dywanu i plątaninę liści ogromnego fikusa. Z głębi, z jasności bijącej od okna, na jego spotkanie wyszedł wysoki mężczyzna, pochylony nieco i barczysty, w białej, rozpiętej pod szyją koszuli.

„Myślałem, że zapomniałeś o znajomych" — powiedział niskim, miękkim głosem. — „Zdaję sobie sprawę, że redaktor Igor Kostrzyniec, to już nie osoba prywatna, nie zwyczajny dziennikarz, ale niemal instytucja, jednak po starej przyjaźni mógłbyś od czasu do czasu dawać znać, że żyjesz. Muszę z prasy dowiadywać się o twoich sukcesach, o wojażach. Siadaj, zaraz będzie kawa".

„Witaj i przestań żartować. Sam wiesz, że obaj nie należymy do siebie".

„To prawda. Ciągniemy wspólnie ten wózek...

„Ciągniemy" — zgodził się Igor. — „Razem z trzydziestoma trzema milionami innych".

„Właśnie. A czy zauważyłeś, że niby lżej ciągnąć, a jednocześnie coraz trudniej?"

„Dziwisz się? Starzejemy się. Ale w sukurs przyszło już nowe pokolenie, silniejsze niż nasze. Myślę, że im będzie łatwiej".

„Oczywiście. Po to poświęciliśmy naszą młodość, aby ci, co przychodzą dzisiaj, czy ci, co dopiero się zjawią, nie mieli tych wszystkich problemów, które nam przysporzyły siwych włosów".

„Rzeczywiście, posiwiałeś".

Weszła sekretarka z kawą. Igor nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć na jej szczupłą, ładną figurę. Sekretarz to zauważył.

„To jedna z twoich wielbicielek" — powiedział, kiedy dziewczyna wyszła.

„Jak widzisz, zawsze miałeś tu przyjaciół".

„Zawsze?"

„Pamiętaj: wszędzie są ludzie i tylko ludzie. Z całym balastem przywar i ułomności. A ty, czy nigdy się nie myliłeś?"

Igor zamyślił się. Czy się mylił? Na pewno. Całe jego życie to ciąg wątpliwości i pomyłek, nieustanne poszukiwania, błądzenie po zaułkach współczesności, dociekanie gdzie znajduje się ta jedyna, niepodważalna prawda. I jeśli zdarzy się, że trafi na odpowiedź, że w zachwycie, z pasją, z całą szczerością na jaką go stać podzieli się tą prawdą z innymi, to przecież niemal natychmiast zjawia się niepokój, bolesna podejrzliwość, czy aby na pewno dotarł do sedna rzeczy, czy zrobił wszystko, aby prawda pozostała prawdą i niczym więcej.

„Wiesz, ja ciągle się mylę" — powiedział. — „Wszystko, cokolwiek zrobiłem można byłoby zrobić lepiej. To mnie przygniata i gryzie. Moja nieporadność jest zastraszająca".

„Daj spokój" — roześmiał się sekretarz. — „Jeśli ty mówisz o nieporadności, to co mają powiedzieć pozostali, ci, od drobnych informacji, od „michałków", ci, dostarczający codziennej strawy dla wszystkich dzienników?"

„Nie wiem, może nie myślą o tym".

„Oczywiście, że nie myślą. Pamiętaj, od ciebie wymaga się czego innego, od nich innego. Wspólnie karmicie miliony czytelników, choć pokarm, jaki im podsuwacie, jest diametralnie różny".

Igor zamilkł, upił kawy. „Wiesz" — powiedział. — „Wróciłem z RFN".

„Wiem. Nie doczekałem się od ciebie kartki, choć inni chwalili się, że otrzymali po kilka".

Igor poczerwieniał. Wiedział, że sekretarz żartuje, ale w tym żarcie było wiele racji. Z reguły nie lubił wysyłać żadnych pocztówek, listów. Uważał, że pisać powinno się wówczas, kiedy ma się coś do przekazania, powiedzenia, poinformowania odbiorcy o ważnym fakcie czy zdarzeniu. Natomiast pisać, że przesyła się serdeczne pozdrowienia z takiej to a takiej miejscowości, czy kraju, to swoista megalomania, snobistyczna chęć podkreślenia, że oto, popatrzcie, ja jestem tutaj, a wy musicie tyrać przy swoich biurkach w zadymionych gabinetach, w szarym krajobrazie opatrzonego do znudzenia miasta.

„Z reguły nie wysłam pozdrowień. A może interesuje cię co tam robiłem?"

Sekretarz wstał, przeszedł się po gabinecie, zdmuchnął niewidzialny kurz z fikusa, poszukał czegoś w szufladzie biurka.

„Nic a nic mnie to nie interesuje. Natomiast chcę, abyś przejrzał program komitetu dotyczący rozwoju kulturalnego miasta. Jest to wysiłek zbiorowy, pracowało nad tym sporo ludzi: pisarze, plastycy, pracownicy wyższych uczelni. Jestem przekonany, że chcemy zrobić w tym mieście dobrą robotę, potrzebną. Nie możemy iść naprzód z przemysłem, jeśli nie stworzymy nowoczesnych kin, ośrodków kulturalnych, muzeów, czy teatrów. Politechnizacji życia nie można oddzielić od humanizmu. Zainteresuje cię to nie tylko jako dziennikarza, ale i jako mieszkańca miasta, o którego złej urodzie mówiono przez dziesiątki lat".

Igor wziął do ręki biały prospekt i zaczął przerzucać kartki.

„Nie teraz, przejrzysz w domu. Aha, byłbym zapomniał: widziałeś się z Gęboszem?"

Kiwnął głową.

„Nic ci nie mówił? Wobec tego jestem pierwszy, który składa ci gratulacje. Otrzymałeś „Medal XXX-lecia PRL".

Igor aż uniósł się z fotela. Nigdy nie liczył na żadną nagrodę za swoją pracę, uważając, że wszystko, co robi jest sprawą oczywistą, jest jego wkładem w to, co nazywa się krajem, ojczyzną, Polską. Właśnie tak pojmował pracę: służenie Polsce. I nagle okazało się, że ktoś dostrzegł jego wysiłek, ocenił. „A jednak!" — powtarzał w myślach. — „A jednak zwyciężyłem!" Gdy uniósł filiżankę, ręka drżała, kawa falowała niebezpiecznie. Sekretarz objął go i po męsku, mocno uściskał. Igor nie przyzwyczajony do takich wyróżnień, zupełnie stracił głowę. Coś tam mówił, przekonywał, że przecież on nic takiego nie zrobił, że dziennikarka jest jego zawodem, że to jego chleb, że przecież nie dlatego zarywał noce, narażał się, aby kiedykolwiek...

„Bez fałszywej skromności, „stary" — powiedział Sekretarz. — „Zasłużyłeś na to odznaczenie. Uczciwie na nie zapracowałeś".

Siedzieli potem w milczeniu, wpatrując się w smugę słońca padającą na dywan, na złociste pyłki leniwo unoszące się i opadające, na rzędy książek milcząco tkwiące za szkłem biblioteki.

„O czym myślisz?

„O przeszłości".

„Rozumiem. Sądzę, że nie masz żalu do nikogo, bowiem liczy się ostateczny wynik".

„Tak, liczy się końcowy wynik. A ten należy do mnie".

„Do nas, chciałeś powiedzieć. Przecież wiesz, że byłem po twojej stronie, nawet wtedy, kiedy mówienie dobrze o tobie mogło przysporzyć kłopotów. Jednak nie bałem się, choć byłem zaledwie instruktorem Komitetu. Dziś powtarzam to samo jako sekretarz: miałeś rację. Widzisz, są tacy, którzy nie widzą dalej niż na wyciągnięcie ręki, a są przekonani o swojej dalekowzroczności. Tacy nie mogą zrozumieć, że ktoś dostrzega sprawy dziejące się w dniu jutrzejszym, że ktoś widzi niewidzialne, że potrafi z faktów zachodzących w zasięgu jego wzroku skojarzyć przyszły bieg historii... A tak właśnie trzeba".

Igor milczał. Z gorzkim smakiem powraca cała przeszłość, stracone dni, bezsenne noce, próżnia gorsza od samotności. Jednocześnie gdzieś ze skrzętnie omijanych zakamarków napływało triumfujące poczucie satysfakcji, odprężenia, spokoju.

„W czasie jednej ze styczniowych nocy w siedemdziesiątym pierwszym" — zaczął nagle Igor — „znalazłem się w zakładzie dziewiarskim „Emilia". Spotkałem tam pewnego robotnika, kotoniarza, który za parę miesięcy miał iść na emeryturę. Tej nocy spodziewano się aktów sabotażu i stary człowiek zamiast pójść do domu — został na nocnej zmianie. Rozmawialiśmy wtedy o wielu sprawach, o tym co dzieje się w kraju, dlaczego tak się dzieje. Kotoniarz nie był z tych zacietrzewionych krzykaczy, nie argumentował obiegowymi pojęciami, jakich mnóstwo wówczas krążyło wśród robotników. Przyjmował wypadki spokojnie. Powiedział: te zakłady odgruzowywałem w czterdziestym piątym, pomagałem przy ustawianiu maszyn, nosiliśmy przędzę na własnych plecach, pilnowałem w nocy z karabinem — i nagle teraz, prawie po trzydziestu latach, przychodzi do mnie taki jeden gówniarz i powiada: panie majster, maszyny trzeba tłuc! Czy pan to rozumie? Chce zniszczyć to, co z takim trudem przywróciliśmy po latach głodu i chłodu. A u niego marynareczka kusa, wcięta, obcasiki wysokie, wąsiki uczernione — wyrósł na chlebie, który dla niego zdobywałem. I nagle zbuntował się! Przeciwko komu, pytam, zbuntował się? Przeciwko sobie. Dlatego pilnuję tych zakładów, maszyn, jak bym pilnował własnego domu".

Sekretarz podszedł bliżej.

„Po co mi o tym opowiadasz? Takich były tysiące. Dlatego zwyciężyliśmy, rozumiesz?

Igor wstał i też zaczął przechadzać się po gabinecie. Rozumiał, aż nadto dobrze, dlatego nie pozostał w nim osad żalu ani wspomnienie niesprawiedliwości, której nie ustrzegł się w owych trudnych i przełomowych dniach.

„Po co mi o tym opowiadasz?" — ponownie zapytał Sekretarz i widząc, że Igor nie słyszy, sam sobie odpowiedział: „Bo wiesz równie dobrze jak ja, że mieliśmy wówczas rację. Ty, ja i ten kotoniarz, o którym mówiłeś. I jeszcze także dlatego, że ta historyczna racja jest racją naszego dzisiaj. A swoją drogą, lubię w tobie ten twórczy bunt, niespokojną dociekliwość, odwagę. Nic a nic się nie zmieniłeś".

Igor jakby się obudził: „Starzeję się" — powiedział z uśmiechem. — „Nawet rozpocząłem specjalne ćwiczenia gimnastyczne".

„Jeszcze kawy?"

„Dziękuję, kawa tu nie pomoże. Rozumiesz, czuję się niczym rozbitek, który w końcu osiągnął brzeg. W ostatnich latach prześladowała mnie przeszłość, czasami popadałem w zwątpienie, nie odnajdywałem sprawdzianów swojej działalności. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale tamto trwało, było gdzieś blisko, czułem to w sobie. Mógłbyś wiesz: kartki z pozdrowieniami, odwiedziny. Masz w tym swoją rację, ale musisz mnie także zrozumieć".

„Rozumiem, stary, bardzo dobrze rozumiem. No, co, jeszcze kawy?"

Igor skinął głową, uśmiechnął się. Sekretarz sięgnął po telefon.

Fragment powieści „WYSOKA FALA".

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

EDWARD SZUSTER

Foto. W. Parys

Edward Szuster — prozaik, autor widowisk telewizyjnych i słuchowisk radiowych — urodził się 25 maja 1918 roku w Genewie. Młodość spędził w Łodzi, gdzie ukończył szkołę średnią. W 1937 roku rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W okresie okupacji walczył w szeregach Armii Krajowej, początkowo w piotrkowskim Kedywie, a następnie w oddziałach partyzanckich (m. in. w 25 pp AK) na terenie okręgu łódzkiego, Po wyzwoleniu pracował m. in. w Wytwórni Filmów Fabularnych i Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi (jako redaktor), w Teatrze Powszechnym (kierownik literacki), w tygodniku „Kronika" (sekretarz redakcji). W latach 1950/51 wykładał też przedmiot „Analiza filmowa" w łódzkiej PWSF. Związany z telewizją od roku 1956, w latach 1962—1973 był redaktorem naczelnym Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Obecnie sprawuje obowiązki z-cy redaktora naczelnego w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Debiutował w roku 1947 powieścią o alegorycznym tytule „Płonący krzak", następnie ukazywały się w kolejności książki: „Niezwykła starość. Sylwetka żywego człowieka." (1954), „Łódzkie powstanie zbrojne w czerwcu 1905 r." (współautor P. Korzec, 1956), „U stóp starego komina" (1957), „Opowieść o zmarnowanym entuzjazmie" (1957), „Leśni" (1959), „Na tropach „Billa" (1968).

W twórczości prozatorskiej Edwarda Szustra dominuje problematyka ruchu oporu. „Płonący krzak" jest odważną i bodaj czy nie pierwszą w naszej literaturze próbą obiektywnego spojrzenia na dzieje i walkę oddziałów partyzanckich AK. Pamiętajmy, że książka ukazała się w 1947 roku, na wiele lat zatem przed falą pamiętników, opracowań naukowych i utworów fabularnych, poświęconych polskiemu podziemiu. „Płonący krzak" to bezpośrednia relacja autora-uczestnika zdarzeń sumiennie utrwalającego obraz partyzanckiej codzienności, stroniącego od heroizujących upiększeń i dyskursywnego komentarza. Komentarz stanowi dopiero posłowie, ujawniające dojrzały stosunek autora do politycznej rzeczywistości: „Nie obwiniajmy tych prostych żołnierzy o brak wiedzy, z jakim błądzili wokół płonącego krzaka rodzącej się przyszłości, (...) walczyli na miarę swych najlepszych sił i umiejętności". Wydany w 1959 roku zbiór opowiadań „Leśni" traktować należy jako swego rodzaju powtórzenie „Płonącego krzaka", ponowne opracowanie tematu z pewnego dystansu czasu.

Potrzeba powrotu do tych spraw inspiruje zresztą to pisarstwo nieustannie. Świadczą o tym zwłaszcza dwie powieści dokumentarne: „Opowieść o zmarnowanym entuzjazmie" i „Na tropach „Billa", w których przeszłość odtwarzana jest skrupulatnie, z godnym podkreślenia szacunkiem dla faktografii. Owa skrupulatność nie przesądza jeszcze o wartości tych utworów, ale chroni je przynajmniej przed tą nieufną rezerwą ze strony cztelnika, jaką nieraz wywołują całkiem nawet udanie skomponowane beletryzacje najnowszej historii, ale nazbyt swobodnie dobierające fakty dla zilustrowania z góry przyjętych tez. Najciekawszą z powieści partyzanckich Szustra jest „Na tropach „Billa", w której autor wykorzystał dane zebrane przez R. Nazarewicza w monografii „Między górną Wartą a Pilicą" wydanej w 1964 roku, skonfrontowane z własnymi doświadczeniami z okresu działalności w oddziale dywersyjnym AK. Tam bowiem spotkał „Billa", który poprzednio był członkiem jednej z pierwszych grup Gwardii Ludowej. Szuster docieka powodów i rekonstruuje okoliczności, jakie przyczyniły się do zmiany przynależności konspiracyjnej partyzanta i jego skomplikowanych wyborów ideowych. To trudne zadanie rozwiązuje w niebanalnie poprowadzonej narracji, w której autobiograficzna relacja odautorska przeplata się z interpretacją oceniającą tamte dramatyczne wydarzenia, konflikty i rozterki z perspektywy minionych lat kilkunastu. Chyba najciekawiej — właśnie w tej powieści — uwidaczniają się także cechy stylu prozy Szustra. Jest to styl niemalże publicystyczny, oszczędny w doborze słów, a jednocześnie sprawny jako narzędzie psychologicznej dociekliwości pisarza. „Na tropach „Billa" wyróżniono nagrodą w konkursie ZLP i WRN na prozę o dziejach walk partyzanckich na ziemiach Polski środkowej.

Inną grupę utworów stanowią teksty dotyczące historii robotniczej Łodzi. „U stóp starego komina" to obrazki z lat 1820, 1861, 1892 i 1905, w których — niczym w przezroczach historycznych — uchwycone zostały znamienne dla rozwoju miasta przejawy przemian gospodarczych i społecznych: zakładanie fabryk, tworzenie się klasy robotniczej, fabrykanckie dynastie, pokolenia robotników. W tym też okręgu zainteresowań mieści się opowieść o Antonim Zasadzie, 76-letnim tkaczu łódzkim („Niezwykła starość") oraz naukowe studium o „Łódzkim powstaniu zbrojnym w czerwcu 1905 r."

Trzecim nurtem w twórczości Szustra jest dramaturgia telewizyjna i radiowa. Przymierze pisarza ze scenariuszem zaczęło się w roku 1950 realizacją filmu „Dwie brygady", którego literacką strukturę stworzył pisarz wspólnie z E. Cękalskim (film ten otrzymał nagrodę państwową III stopnia). Szansę wytrzymania przysłowiowej „próby czasu" mają jednak teksty późniejsze, pisane dla telewizji, a częściowo zebrane w książce „Dragon i sześć innych opowieści z kineskopu". Składają się na nią zrealizowane w latach 1965—1973 scenariusze widowisk telewizyjnych. Są to teksty specyficzne, o konstrukcji pełnej uproszczeń, związanych z charakterem scenariusza, który jest przecież zaledwie jednym z tworzyw widowiska telewizyjnego i dostosowany być musi do technicznych właściwości tego środka przekazu. Pod względem tematycznym są one zróżnicowane: czołową pozycję zajmuje nadal problematyka okupacyjna (np. „Dwie tłuste gęsi"), pojawiają się również lokalizacje odleglejsze w czasie akcji („Dragon" — 1905 r.), obok lokalizacji współczesnej („Zasadzka"); niektóre z tych utworów adresowane są do młodego widza (np. „Wiosenny deszcz", „Zamorski gość"). W scenariuszach radiowych natomiast teraźniejszość zdobywa sobie wyraźną przewagę. Do głosu dochodzą tu zainteresowania obyczajowością, ujętą dynamicznie i konfliktowo, obserwacje środowiskowe i pokoleniowe. Wymienić tu warto przykładowo „Mało to ludzie gadają" (1974), „Jakoś to nie wyszło" (1975).

Prócz oryginalnych scenariuszy widowisk telewizyjnych i słuchowisk radiowych Szuster podejmuje się także adaptacji znanych dzieł literatury światowej i polskiej, by wspomnieć o takich pozycjach jak: „Czitra" wg R. Tagore, „Ojciec Goriot" wg H. Balzaca, „Prostaczek" wg Voltaire'a „Opowieści Szwejka" wg J. Haszka, „Korsarz" i „Nostromo" wg J. Conrada. Zapowiedzią kontynuacji tematu współczesnego jest powieść „Wędrówki po szesnastu dniach", jeszcze nie wydana, a nagrodzona w 1974 roku w konkursie Związku Literatów Polskich i WRN.

MARIA E. SAJENCZUK

HISTORIA OBYCZAJÓW XI

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

NA WAWELU

Dalszy ciąg ze str. 1

zdu do stolicy rozdano ubogim jałmużny. Biły dzwony kościołów, łopotały chorągwie, oddawały honory warty.

Gdy przybyto na Wawel, Zygmunt August z Barbarą, otoczeni ciżbą dworzan i panów, weszli do katedry. Tam jeden z opatów podał najpierw królowi, potem zaś Barbarze, do pocałowania świętą relikwię „drzewo krzyża pańskiego". Kapituła krakowska witała monarchę łacińską mową. Może i dobrze, że Barbara jej nie rozumiała, bowiem akcentowano w niej m.in., że jest „nierówną" królowi, podawano wszakże przykłady władców i postaci biblijnych, którzy brali żony ze sług i niewolnic. Miało to jakby uzasadniać i usprawiedliwiać wybór królewski. Nie słychać wszakże by mowa przypadła do gustu Zygmuntowi. Z kolei, po polsku, witał Barbarę kanonik Piotr Myszkowski, mowa jego ogólnie się podobała, powiadano, iż przemówił „dobrze, mądrze i roztropnie". Na powitanie ze strony króla odpowiedział po łacinie biskup Samuel Maciejowski, ze strony Barbary po polsku jej ochmistrz Stanisław Maciejowski. Po mowach odezwały się organy i katedrą wstrząsnął uroczysty hymn „Te Deum Laudamus". Po czym król powiódł żonę na zamek i wprowadził ją do apartamentów, które zajmowały zawsze małżonki władców. Sam zajął inne, położone naprzeciw pokojów żony.

Barbara spędziła pierwszą noc na Wawelu jako honorowana, legalna, prawowita małżonka królewska. W tym momencie wrogie tłumy szlacheckie, cała opozycja i hałas wokół jej małżeństwa zdawały się roztapiać w przysłowiowej mgle. Zajmowała pokoje, na których rezydowała niegdyś królowa Bona, miała wokół siebie roje służby, jej spokoju strzegły halabardy drabantów i muszkiety żołnierzy nadwornych, za nią modlili się w katedrze wawelskiej księża i purpuraci.

Następnego dnia, od rana, razem z Zygmuntem słuchała nowych mów, ze strony m.in. przedstawicieli Akademii, razem z nim nudziła się przy tych perorach, razem z nim czytała wiersze, jakie na temat uroczystego wjazdu do stolicy składali poeci, brała udział w dworskich ceremoniach. Piątego dnia po przyjeździe napisała list do Mikołaja Rudego, donoszący mu o swym przybyciu na Wawel. Pismo świadczy, że z powitania była bardzo kontenta, znamienne, iż interesowały ją reakcje nie tylko dygnitarzy lecz także „niższych stanów". Nie tylko opisywała swój triumf, lecz zatrzymała przy sobie służebnika radziwiłłowskiego, niejakiego Szymka, aby sam widział jej wjazd i opowiedział o nim w rodzinnym domu.

Wszystkie znaki wskazują, że uroczystości i ceremonie przeszkadzały naszej parze. Tylko dzień dni Zygmunt i Barbara bawili na zamku krakowskim, 22 lutego opuścili stolicę udając się do rezydencji w podkrakowskich Niepołomicach. W ukrytym pośród lasów dworze, zarzuciwszy troski panowania i nudne ceremonie, przeżyła para królewska kilka tygodni ciesząc się sobą i oddając miłosnym uniesieniom. I w Niepołomicach nie brakowało dworzan, gości, posłów. Zygmunt August traktował jednak pobyt jako wytchnienie, chwile osobistego szczęścia. Barbara nie zawiodła. Po przyjeździe co prawda zachorzała, powiadano, iż na kamicę, dolegliwość jednak rychło minęła i mogła w pełni przeżywać przyjemności i rozkosze małżeństwa. Zygmunt August składał żonie dowody czułej adoracji, m.in. ostentacyjnie jadał z nią wieczorem (w zasadzie — wg obowiązującego ceremoniału — spożywał posiłki samotnie), by pokazać jak kocha i szanuje swą żonę. Był to czas zapust, para królewska bawiła się i kochała jaśniejąc radością i szczęściem. W jednym z listów czytamy, iż w czasie pobytu w Niepołomicach: „Król jegomość raczył być bardzo dobrze zdrów i bardzo dobrej a wesołej myśli, i tak się w krasę i w podobę po owych smutkach a ciężkościach poprawić raczył, że się jego m. ludzie napatrzyć nie mogą".

Szczęście pary królewskiej emanowało tak silnie, iż pogodny nastrój ogarnął także dworzan. Ochmistrz królowej pisał o sobie, „żem już i sam odświeżał i prawie odmłódł". Tę radosną atmosferę tworzyły także wieści o łamaniu się opozycji wobec Barbary, o zabiegach o zyskanie łaski królewskiej dotychczasowych przeciwników małżeństwa. Ostatnie informacje były nazbyt optymistyczne, faktem jest jednak, że zapusty minęły parze królewskiej bez zgryzot. Radośni i szczęśliwi powrócili w marcu do Krakowa.

Również najbliższe miesiące były radosne i względnie spokojne. Stary Wawel jeszcze nie widział dotąd tak kochającej się i szczęśliwej ze sobą pary królewskiej. Zygmunt August otoczył żonę przepychem, wydawał na jej cześć uczty, festyny, obsypywał ją kosztownymi podarunkami, skupywał dla niej m.in. sobolowe futra, biżuterię, złośliwi powiadali, że pragnie „swoją Barbarę wystroić", by jak najwspanialej prezentowała się w roli królowej. Przepych i zbytek, jakim otoczona została żona królewska, zadziwiał nie tylko opinię krajową, lecz również — przyzwyczajonych przecież do luksusu panujących — zachodnich dyplomatów. Poseł króla rzymskiego Ferdynanda Habsburga Jan Lang 17 marca 1549 roku relacjonował swemu władcy, że Zygmunt August w Krakowie „z małżonką swą Barbarą słodki żywot prowadzi. Podziwienia godne, z jakim kosztem i z jaką wspaniałością król utrzymuje królową... Powiadają, że w porównaniu z tą, królowa Elżbieta nasza świętej pamięci nielepsze od sługi utrzymanie miała". Głoszono, że Jagiellon wydawał na żonę, utrzymanie licznego dworu bajońskie sumy, że w tymże roku rozeszły się już wszystkie pieniądze zostawione przez jego ojca.

Kierując się tradycyjnym obyczajem, a bardziej jeszcze chcąc zademonstrować opinii swą miłość i wolę współżycia z Barbarą, Zygmunt August dokumentem z dnia 1 maja 1549 roku dokonał uroczystej oprawy na rzecz żony. Mocą tego aktu, ogłoszonego oficjalnie w Krakowie, przekazał małżonce dożywotnio rozległe dobra leżące w Wielkim Księstwie Litewskim. Zapisał jej zamek kowieński, wiele miast i dworów, m.in. Merecz, Olitę, Byrsztany, Żyżmory z ich dobrami i dochodami. Własnością Barbary stały się rozległe pola, puszcze, stawy, młyny, stada zwierząt. Była to istna fortuna. Znamienne iż w dokumencie Zygmunt August podkreślał, że Barbara wywodzi się z domu „wielmożnego i już oświeconego panów Radziwiłłów", czyli akcentował tytuł książęcy, który notabene sam, ledwie trzy miesiące wcześniej, zatwierdził.

Rok 1549 zakończył się dla Barbary wspaniałym obchodem jej urodzin, przypadających jak wiemy 4 grudnia. Z powodu tej uroczystości Zygmunt August przez cały tydzień podejmował z wielką hojnością cały dwór, wydatki na ten cel wyniosły znaczną sumę. Na tego rodzaju dary, uczty i fawory mógł zdobyć się każdy ówczesny król, Jagiellon zadziwiał wszakże okazywaną jej czułością, troskliwością, zainteresowaniem, jakim darzył jej krewnych. W tych reakcjach i poczynaniach był najbardziej subtelnym, „wyśnionym" adoratorem. Nie lubiący Barbary Czarny Radziwiłł musiał jednak przyznać, że tak kochaną i uwielbianą przez męża nie była w Polsce dotąd żadna królowa. Pisał, że „używa tej łaski u króla, której, nie jest rzecz podobna, aby która królowa w koronie polskiej kiedy używała większej u małżonka swego". Nawet w utrzymanych w rzeczowym, suchym tonie korespondencjach dyplomatycznych nadmieniano, że „król za nią przepada".

Wszystko wskazuje, iż otrzymywał w zamian bezgraniczne oddanie i miłość. Wiele faktów świadczy jak go kochała, jak drżała o jego zdrowie, jak cieszyła się jego widokiem i bliskością. W tych pierwszych miesiącach wspólnego pobytu w Krakowie czy Niepołomicach mógł bez przeszkód, do syta, delektować się piękną i uwielbiającą go żoną. W tym pełnym, pięknym związku w dalszym ciągu dużą rolę odgrywał czynnik seksualny, wskazują na to różne napomknienia, aluzje. Stryjkowski pisał, że król „z małżonką Barbara krotochwil rozmaitych według młodości używał".

Barbara była nieraz wyniosła, lecz nie stała się megalomanką, pobyt na Wawelu nie zmienił jej charakteru, stosunku do krewnych a nawet innych ludzi. Sekretarz Koszucki miał rację pisząc, że „jej nie królestwo nie zawadziło, nikęsać nie zhardziała". Nie przestrzegała oficjalnego protokołu, nie delektowała się tytułami i formułkami przysługującymi jej pozycji. W listach pisanych do Mikołaja Rudego bardzo rzadko używa oficjalnej tytulatury „Barbara z Bożej Łaski Królowa Polska, Wielka Księżna Litewska, Ruska, Pruska, Mazowiecka etc". Zaczyna list po prostu „Wielmożny panie a bracie mnie miły", kończy zaś: „w.m. siostra Barbara Ra.". Kiedy Radziwiłł wnosił pretensje do jej sekretrza, że w korespondencji pomijano jej tytuły, że nie używano przysługującego monarchom zwrotu „my", sekretarz Koszucki sumitował się: „Nie raczże mi też w.m. mieć za złe, że od Jej K.M. piszę Ja a nie My. Jać muszę czynić co mi każe... moja m. pani, a to jest jej m. wola, abych inaczej do w.m. nie pisał".

Wychowana w innym klimacie kulturowym, w swobodniejszych obyczajach, obalała tradycyjne zwyczaje, modyfikowała obowiązujące w Polsce reguły. Wprowadzane przez nią zmiany zapewmały silniejszą bardziej równorzędna mężczyznom pozycję kobietom, pozwalały im swobodniej korzystać z uroków życia. Ona pierwsza na dworze królewskim wprowadziła zwyczaj, iż mąż, choćby był królem, musi czekać na żonę, póki ta się nie wymuska i nie wystroi. Jej sekretarz Koszucki donosił: „Król bardzo często czekać musi, gdy do kościoła albo gdzie społu iść mają. Panowie na sieni stoją z królem, a królowa Jej Mość się dopiero ubiera". Nie twierdzę, by ostatnia okoliczność właśnie tę atmosferę, przenosiła do Krakowa litewskie obyczaje. Na przykład dzień zaczynał się nabożeństwem, na którym w dnie uroczyste bywały razem oba dwory, króla i królowej, jednak w dwu oddzielnych grupach. Pod wpływem Barbary zerwano ze zwyczajem oddzielnego zajmowania miejsc, oba dwory, zmieszane ze sobą stały razem. Według postronnych ganiono ten nowy zwyczaj, uważając że poważną świątynię napełniały „chichotem i rozgwarem".

Hetman Jan Tarnowski

Dworki królowej były to młode, pełne przysłowiowego życia panny. Na przykład niejaka Zofia Konarska, późniejsza żona Walentego Jukuba Dembińskiego, charakteryzowana jest w historiografii jako osoba o niezwykłym temperamencie, który wyładowywała później m.in. w procesach i rozmaitych wystąpieniach. Z rozmaitych wzmianek wynika, że nie były to trusie ani służbistki. Barbara kochała się i chciała widzieć obok siebie także młode, radosne twarze.

Lubiła chyba słuchać miłosnych szeptów, patrzeć na flirty i amory otoczenia. Stąd też pobłażanie wobec stylu życia dworzan, stąd dążność do liberalizacji obyczajów.

Pierwsze miesiące pobytu na Wawelu wykazały, że naszej bohaterce obca jest posępność, ponurość, posiadała zaś poczucie humoru. Kiedyś w rozmowie głosiła, że rzekomo nie jest ważna ilość i strój dworzan, jako przykład podała wjazd do Krakowa Czarnego Radziwiłła, który choć jest marszałkiem wielkim „a wżdy jedno we 30 koni przyjechał, jeszcze w barchanowych kabaciech a w krótkich purpurijańskich sukienkach, a wżdy było dobrze". Była to bez wątpienia dowcipna złośliwość pod adresem jej nadętego a oszczędnego kuzyna. Ze wzmianek wynika, że znała wesołe piosenki, przysłowia. Nasze piśmiennictwo tego okresu, myślę o pamiętnikach, kronikach, poskąpiło nam plastycznego opisu tryskającej radością życia, dowcipnej, korzystającej z małżeńskich uciech Barbary. W istocie mało przedstawiano ją w tzw. życiu prywatnym. Wydaje się, że w tym czasie swym postępowaniem, poglądami przypominała pewne „swawolne" monarchinie Zachodu, np. swą imienniczkę, żonę cesarza Zygmunta Luksemburczyka. Wg Brantoma ta cesarzowa „powiadała, iż być ustawicznie w nieprzerwanym stanie czystości to przystało głupcom, i ganiła mocno swoje panie a panny, jeśli trwały w tym mózgowniczym mniemaniu, które ze swojej strony odepchnęła daleko: bowiem cała jej radość była w festynach, pląsach, balach a amorach, przy czym dworowała sobie z tych, którzy nie czynili tak samo albo którzy pościli, aby sobie umartwić ciało, i które żyły jak pustelnice. Możecie mnimać, iż dobrze było żyć na dworze onego cysarza a cysarzowej: powiedam, dla tych, którzy lubili rzemięsło miłosne". Dodam, że obserwatorzy zachodni, przyzwyczajeni do większej swobody królowych, nie wydziwiali nad obyczajami naszej Barbary, wydaje się, że dla nich jej postępowanie było bardziej zrozumiałe i łatwiejsze do zaakceptowania niźli dla opinii krajowej.

C.d.n.

RYSZARD BINKOWSKI

WYRWY

Milicjant siedzi lekko znudzony. Tych dwóch obok niego pochyliło głowy. Unikają spojrzeń świadków. Jeden chudy, ciemnowłosy, drugi pyzaty blondyn.

Do barierki podchodzą stare kobiety.

— Około dwudziestej trzydzieści wracałam z apteki. Kiedy usłyszałam za sobą kroki, przeszłam na drugą stronę ulicy. Ten ktoś też przeszedł. Czułam, że jest z tyłu, tuż, tuż... Zacisnąłem rękę, tamten szarpnął... Przewróciłam się, ale torby nie wypuściłam. Zaczęłam krzyczeć. Uciekł... Ledwie wstałam, taka byłam obita. W torbie stłukły się strzykawki...

Kobieta patrzy zza okularów na oskarżonych. Jest ich tylko dwóch, ponieważ dwóch nieletnich nie dowieziono z poprawczaka.

— Było ciemno. Nie mam pewności, który to. Ale widziało go dwóch mężczyzn. Według ich opisu, to będzie ten.

Wskazuje pyzatego blondyna.

Siwowłosa kobieta w zniszczonym szarym płaszczu.

— Było to 27 listopada wieczorem. Szłam z dwiema paniami, gadamy sobie, aż tu nagle ktoś szarpnął i wyrwał mi torbę. Zamurowało nas ze strachu. Nawet nie zdążyłyśmy spojrzeć w twarz, bo on zaraz wpadł do bramy. Na pewno był młody. Krzyczałyśmy, ale był już daleko... A w torbie to jakieś 10—11 złotych...

— Dwunastego grudnia wieczorem wracałam z dzieckiem do domu. Znalazłam się już blisko bramy, kiedy ktoś podskoczył z tyłu, wyrwał mi torbę skórzaną, siatkę i zaczął uciekać. Z początku nie wiedziałam co robić. Zostawiłam dzieciaka na ulicy i z krzykiem pobiegłam za złodziejem. To był młody chłopak. Dał nura do najbliższej posesji, a ja za nim! Z tyłu znajdował się duży ogród i on musiał przebiec tamtędy na drugą ulicę.

Znalazłam siatkę. Wyrzucił, bo była pusta. A torba? Wartość 350 złotych, portmonetka z pięćdziesięcioma złotymi, dowód osobisty, klucze. To jest ten...

Wskazała na chudego, czarnego.

— Nie, nie przepraszam! W komendzie rozpoznałam tego grubszego. Miał długie włosy i był inaczej ubrany. On się wtedy przyznał w mojej obecności.

Longinie Z. wyrwano torbę w okolicach parku. Złodziej, niskiego wzrostu, w ciemnej kurtce ortalionowej, zbiegł, kryjąc się wśród drzew i krzewów. Wypadki powtórzyły się. Prasa podała informacje o grasującym w mieście gangu. Milicja zwróciła się do społeczeństwa z prośbą o zgłaszanie wypadków zuchwałych kradzieży torebek.

Poszkodowanych zgłosiło się niewielu. Ofiarami były starsze kobiety. Wszystkie zastraszone plotkami z ulicy, z tramwaju i sklepowej kolejki. Że tamci mogą pobić, przejechać żyletą po oczach lub zgwałcić.

2.

W tym czasie, a nawet jeszcze wcześniej, szerzyły się kradzieże.

Z komórek w piwnicach bloków ginęły rowery, motocykle i motorowery.

Skradziono wino, składak, grzybki i ogórki.

Dokonano włamania do sklepu spożywczego.

Ginęły drobne przedmioty i bardziej wartościowe. Motocykl, dźwignia samochodowa i latarka elektryczna.

Pewnego ranka u kierowniczki sklepu odzieżowego „Konsumy" zjawili się milicjanci. Ciężko wystraszoną kobietę zawieźli do sklepu. Szyba wystawowa rozbita cegłą. Kierowniczka odetchnęła. Stwierdziła z całą pewnością, iż z wystawy nie zginęła żadna bluzka ani koszula.

Milicjanci zaczęli kojarzyć fakty. Na podstawie obserwacji doszli do wniosku, że sprawcami włamań i zuchwałych kradzieży torebek muszą być ci sami osobnicy. Tropy niespodziewanie zawiodły na „Kirchol", zdewastowany cmentarz żydowski.

Była to baza zaniedbanych chłopaczków, biegających bezpańsko z kluczami na szyi. Bawili się raz w chowanego. Jedna zapałka, dwa kije, kto nie schowany, ten kryje!

Mały Paweł C. rymnął zdyszany w trawę za starą płytę nagrobkową. Wciskał się za tę płytę coraz mocniej, żeby mu tyłek nie wystawał, bo zaraz by zaklepali. W pewnej chwili ujrzał pod płytą damską torebkę. Wyciągnął ją i z wrzaskiem wyskoczył z kryjówki.

Zaklepali go, ale zabawa urwała się nagle. Bo w torbie leżało sporo kosmetyków. Chłopaczki jęli naparzać się piąchami i wyrywać je sobie z rąk.

— Chopaki, zabawmy się w Indian! — rzucił któryś propozycję.

— W Apaczów i Siuksów!

— I w wojnę!

Rozdzielono kosmetyki. Chłopaki podzielili się na dwa wrogie plemiona. Pomazali twarze w wojenne pasy. Z dzikim wyciem gnali po wojennej ścieżce, aż Gieniu znalazł drugą torebkę, z której wysypały się dokumenty...

— Trzeba by oddać, co? — spytał ktoś ze strachem.

— No to oddaj, jakżeś taki ważny!

— Tu jest dowód jednej nauczycielki. Ja ją znam...

W tym dowodzie wyczytali coś o wymianie waluty.

Z rozterki wyciągnął maluchów szesnastoletni Olek, który akurat nadszedł. To był duży cwaniaczek, dla nich prawie bohater. Zabrał torebki, oznamiając, iż zrobi z nimi co trzeba. Tylko, żeby ani mru-mru, bo zarządzi przymusowego dupniaka. Na zgodę Olek podzielił między malców znalezione w torbie francuskie monety.

W tym czasie zgłosiła się kolejna poszkodowana, obywatelka O. Zapodała, że ktoś ją pchnął, a ktoś drugi wyrwał torebkę. Porywacza gotowa rozpoznać. Młody, szczupłej budowy ciała, w jasnym płaszczu.

Wieczorem chłopcy zobaczyli płonące na „Kircholu" ognisko...

3.

Zeszli się po zwichrowanych ścieżkach życia we czwórkę. Olek i Marcych — małolaty, Betka i Parol po osiemnastce. Najpierw Olek chodził luzem, próbując tu i ówdzie kłódek. Drzwi komórek w blokach zbite z prętów, dla oszczędności przedzielone szparami. Wchodzi Olek, filuje przez szpary, gwóźdź w kłódkę i można bobrować. Albo wystawiał drzwi z zawiasów. Na niektóre drzwi wystarczyło wleźć. Opuściły się trochę, u góry szpara. Olek wkładał rękę i wyciągał drobniejsze przedmioty.

Ale bez obstawy nieporęcznie chodzić po komórkach. Zwąchał się z Marcychem, później dołączyli ci starsi. Betce na ten przykład pić się zachciało.

— Punkt dziesiąta załatwiamy spożywczy — oznajmił. — Olek robi kłódkę, my robimy w środku.

Kłódka była zaszyfrowana, Olek nie dał rady, więc Parol ukręcił kabłąk. Betka ściągnął parę win, Parol czyścił szuflady, Marcych stał na lipku. Wyszli z marnym łupem, a tu dwóch milicjantów. Dali cuga, milicjanci gnali ich przez pół miasta, w drodze stłukły się butelki.

Betce nadal chciało się pić. Olek wtedy powiedział, że on zna jedną komórkę w bloku. Obstawili klatkę schodową. Marcych z Olkiem poszli. Był balon z winem. Pracowali w spokoju, tzn. napełnili winem sześć butelek, ukryli je na „Kircholu", a potem ruszyli z tym winem na podbój wiejskich dziewuch. Jedna małoletnia Krycha opowiadała, że popijali na łące w Wincentowie i na małej stacyjce w Chechle. Po winie było kochanie, bo chłopaki miastowe potrafią.

Jak zabrakło paliwa na gardło, Olek jeszcze raz poszedł do tej samej komórki. Ogórki i grzybki na zagrychę.

Raz, w godzinach nocnych, odprowadzali Parola do jego dziewczyny. Parol zobaczył na wystawie bluzki.

— Rozwal to szkło — mówi do Betki — bo ja France muszę serce okazać i prezent.

— Sam rozwal — Betka na to. — Nie moje serce i nie moja dziewczyna, a kicie może być moje.

Żeby się podchlebić, Marcych rąbnął cegłą w szybę. Już mieli brać ciuchy z wystawy, kiedy napatoczyła się samotna kobieta. Uciekli...

Coś się nie kleiło, tych dwóch młodszych zaczęła gryźć chandra. Poszli pod jeden blok, Marcych wsadził gwóźdź w stacyjkę „Gazeli" i pojechali. Olek wrzeszczy z tyłu, że glina z żarówą na dachu. Marcych gaz do dechy i slalomem po wąskich uliczkach. Zgubili radiowóz, motocykl rzucili do rowu i skoczyli do parku.

Wreszcie zwołał ich Parol na bojową odprawę.

— Jest sposób na forsę — mówi — ale trzeba mieć gaz w nogach.

— No? — zaciekawił się Betka.

— Wyrwy — mówi Parol.

Betka nie skontaktował, ale Marcych wiedział, bo nałapał wiedzy w poprawczakach.

Betka zademonstrował. Pchnął Parola na kobietę. Kobiecina rozłożyła się na chodniku, Betka szarpnął totebkę.

Tak się zaczęło. Trwałoby długo, ale mały Pawełek powiedział, że Betka ukradł dwie torebki koło parku. I że pili wódkę na „Kircholu", gdzie mieli schowki na łupy. Torebki i dokumenty palili.

4.

Zgłosiło się kilku poszkodowanych. Tymczasem jak się Marcych rozgadał, wyszło mu 14 „wyrwów".

Ustalali kolejność. Kto, kiedy, jak i gdzie. Widzą na przykład w porze wieczorowej starszą kobietę. Parol podchodzi.

— Babciu — mówi — dychę na fajki.

Babcia patrzy przerażona, ręce jej się trzęsą, a Betka z tyłu cap! za torbę.

Przy jedenastej wyrwie puścili do roboty Andrzejka, który chodzi do szkoły. Żeby się kobietom nie opatrzyły te same gęby.

Kradli na bulwarach i w ciemnych uliczkach, albo w okolicach parku. Przy jednej kradzieży zapytali o godzinę, dwóch wzięło kobietę w środek, trzeci wyrwał.

Trzynasta wyrwa felerna. W torbie książeczka do nabożeństwa i pięć złotych na ofiarę.

Skromne łupy, w sumie około trzech tysięcy. Sprawiedliwie dzielili się groszem na „Kircholu".

Kiedy zwinęła ich władza, jeden zaraz udał wariata, ale szybko go wyleczono. Szesnastoletni Olek, uczeń, za kradzież motocykli i motorowerów uprzednio skazany był już na poprawczak z trzyletnim zawieszeniem.

Jego rówieśnik, Marcych, również kradł motorowery. Okradał rodziców. Ojciec jakby nie istniał. Dopiero, kiedy dowiedział się, że za poprawczak trzeba płacić, uderzył w lament.

Betka, osiemnastolatek, pięć razy karany za kradzieże i włamania. Uczeń malarski, państwo płaciło mu za naukę 260 złotych miesięcznie. Mówi, że wieczorami nie wyciągał torebek. To milicjant wmówił mu, w jakich miejscach dokonał kradzieży. Niewiele poszkodowanych zgłosiło się, więc skąd milicjant mógł wiedzieć o wszystkich wyrwach?

— Ja nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak zeznawałem w prokuraturze.

Podszkolili się w areszcie na Stokowskiej. Parol. W domu sześcioro rodzeństwa. Od trzeciej klasy chodził do szkoły specjalnej. Matka chciała dać go do roboty w spółdzielni inwalidów, ale on ani do nauki, ani do roboty. Był już skazany na poprawczak w zawieszeniu.

Parol nie rozumie oskarżenia. Koło sklepu „Konsumy" nie przechodził, przestępstw nie dokonywał, a czy robili to koledzy, nie wie, bo nikogo nie zna. Przyznał się do tego, czego nie robił. Zmusił go milicjant. Tak napisał i już...

Płacze. Tamte wyrwy poszły gładko. Teraz pozostała ta najtrudniejsza, u progu młodego życia — wyrwa w życiorysie...

KSIĄŻKA

POSŁANNICTWO KSIĄŻEK

Nie tak dawno pojawiła się na półkach księgarskich antologia opowiadań Republiki Federalnej Niemiec pt. „Nieznany cel" w wyborze i opracowaniu Huberta Orłowskiego. Niemalże równocześnie ukazała się w RFN obszerna antologia współczesnych opowiadań polskich w serii „Moderne Erzähler der Welt". Zbieżność to nieprzypadkowa, w ostatnich latach wzrosło wyraźnie obopólne zainteresowanie literaturą, wyrażające się konkretnie w coraz większej ilości przekładów. Pozwoliło to Karolowi Dedeciusowi, jednemu z najwybitniejszych tłumaczy literatury polskiej na sformułowanie w książce „Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek" (wydanej także po polsku) następującego spostrzeżenia: „Uprzywilejowanie utworów pisarzy polskich staje się znaczącym symptomem. Również w gazetach i czasopismach bardzo często spotyka się artykuły polskich autorów czy też niemieckich o Polsce. Krytyka z uwagą śledzi polonica i życzliwie je ocenia. Polska literatura przestała być krainą nieznaną. Posłannictwo książek działa".

Współczesna literatura polska oceniana jest w Republice Federalnej Niemiec bardzo wysoko, zarówno pod względem artystycznym jak i informacji, jakich dostarcza o narodzie i jego sprawach. Stąd też wydawca antologii polskich opowiadań nie zawahał się przed rekomendacją jej jako książki fascynującej. Jest ona dziełem Klausa Staemmlera, laureta nagrody ZAIKS. Dokonał wyboru tekstów, przetłumaczył je, opatrzył bibliograficznymi notami, całość zaś poprzedził zwięzłą charakterystyką współczesnej naszej literatury. Jest to tłumacz doświadczony i obyty z literaturą polską — wkrótce obchodzić będzie jubileusz dwudziestolecia pracy translatorskiej.

Na antologię złożyły się 34 opowiadania, wybrane według kilku kryteriów. Są tu więc tylko autorzy żyjący (z jednym wyjątkiem Marka Hłaski). Każdy autor reprezentowany jest przez jeden tekst, dostępny wcześniej czytelnikowi polskiemu, co oznacza po prostu brak literatury emigracyjnej. Z nielicznymi wyjątkami została też zachowana zasada, by były to utwory nie znane jeszcze w RFN. Twórca antologii skoncentrował się głównie na reprezentatywnych tekstach średniego pokolenia literackiego, aczkolwiek nie pominął autorów starszych, znanych już dobrze na literackim rynku Republiki Federalnej (Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Andrzejewskiego, Kornela Filipowicza, Kazimierza Brandysa, Stanisława Lema). Mocno wyeksponowany został cel poznawczy — opowiadania prezentują współczesną rzeczywistość polską w najrozmaitszych jej przejawach.

Dominują wyraźnie dwa kręgi tematyczne: Wojna, okupacja, wpływ wydarzeń wojennych na psychikę ludzką to krąg pierwszy, najważniejszy, egzemplifikowany następującymi opowiadaniami: „Warszawianką" Jerzego Andrzejewskiego, „Czarnym kwiatem" Adolfa Rudnickiego, „Ostrzężnicami" Wojciecha Żukrowskiego, „Ugodą" Ernesta Brylla, „Drogą, w obecności słońca" Mieczysława Michała Szargana, „Mizerykordią" Marka Nowakowskiego oraz „Uśmiechem kamiennego Floriana" Adama Janusza Bienia. Taki zestaw stanowi zarazem niejako chronologiczny przegląd przemian tematu w literaturze trzydziestolecia (przypomnijmy: opowiadanie Andrzejewskiego ukazało się w 1945 roku, Bienia — w 1973).

Równie wyraźnie zaznacza się — jakże znamienny dla naszej literackiej współczesności — nurt wiejski, a właściwie jeden tylko jego aspekt, mianowicie problem „przejścia" ze wsi do miasta, w klasyczny niemal sposób ujęty w twórczości Juliana Kawalca. Brakło Kawalca jednak w tym tomie, zaś problem tylko co wymieniony przedstawiają utwory Tadeusza Nowaka, Kazimierza Orłosia, Mariana Pilota i Tadeusza Różewicza.

Trudno sporządzać tu dokładny rejestr wszystkich tendencji, wyłowionych przez Staemmlera. Daje on adekwatny w gruncie rzeczy przegląd, choć reprezentatywność niektórych nazwisk dla poszczególnych tendencji wydawać się może niekiedy dyskusyjna Ale pamiętajmy, iż każda antologia żyje przecież opozycją między tekstami zamieszczonymi, a tymi, które nie zmieściły się w wyborze. Z satysfakcją dodać za to warto, że nie zabrakło nazwisk nowych, mniej jeszcze w kraju znanych (np. Kazimierza Banka, Władysława Huzika, Mariana Łohutki, Piotra Wojciechowskiego).

Wydane w Republice Federalnej Niemiec polskie krótkie formy prozatorskie dają szeroką panoramę współczesnej literatury. Dołączają do wcześniejszych przekładów. Kontynuują posłannictwo książek.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Moderne Erzähler der Welt. Polen. Auswahl und Übersetzung Klaus Staemmler. Horst Erdmann Verlag, Tübingen und Basel, 1975.

WĘGRY

Książka Jerzego Roberta Nowaka ukazuje w sposób popularny zarys najnowszej historii Węgier. Pierwsza część pracy rysując ostatnie lata władzy horthystowskiej i skomplikowaną sytuację polityczną na Węgrzech w czasie wojny — pozwala lepiej zrozumieć genezę Węgierskiej Republiki Ludowej i jej drogę roz wojową. Druga część książki przedstawia przemiany społeczne i polityczne w latach powojennych. Praca ta uzyskała nagrodę Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Sam autor natomiast jest z wykształcenia historykiem — doktoryzował się pracą nt. historii politycznej Węgier, a potem przez kilka lat pracował w Ambasadzie PRL w Budapeszcie. Opublikował wiele artykułów, szkiców i opracowań na temat historii i kultury Węgier XX wieku. Do poważniejszych publikacji Nowaka należy wydana przed paroma laty praca „Nowe tendencje w literaturze węgierskiej".

Jerzy R. Nowak „Węgry 1939—1974", Wyd. Wiedza Powszechna, cena 20 zł.

NA EMIGRACJI

Tadeusz Kochanowicz w latach wojny znalazł się na emigracji w Wielkiej Brytanii, gdzie pracował w radiostacji „Świt". Była to dziwna i nietypowa rozgłośnia. Nadawała bowiem z terytorium brytyjskiego — pozorując jednak, że działa tajnie w okupowanym kraju.

Zarówno charakter pracy, jak i szerokie kontakty w kołach politycznych umożliwiły autorowi zebranie ciekawych obserwacji i spostrzeżeń na temat wojennej emigracji londyńskiej, a także polityki wielkich mocarstw wobec Polski.

Bardzo dobrze się stało, że wspomnienia Kochanowicza udostępniono czytelnikowi. W ten sposób bowiem ujawniony został jeczcze jeden — bardzo mało znany — fragment walki Polaków z hitleryzmem. Radiostacja „Świt" z natury rzeczy działała w głębokiej konspiracji i nawet na terenie Wielkiej Brytanii musiała swoją działalność otaczać tajemnicą. Stąd tak mało dotychczas o tej rozgłośni wiadomo. Fakt, że napisał o niej jeden z jej pracowników nadaje książce walory historycznego dokumentu.

Tadeusz Kochanowicz „Na wojennej emigracji" Książka i Wiedza, cena 22 zł

LITERATURA POLSKI LUDOWEJ

Wydano tę pracę zbiorową (pod redakcją Mariana Stępnia) w nakładzie znikomym — niby mało znaczący przyczynek do dziejów literatury polskiej naszego trzydziestolecia. A jest to dzieło istotne. Rozprawy w nim zawarte stanowią plon sesji naukowej poświęconej literaturze Polski Ludowej — zorganizowanej przez Instytut Filologii Polskiej UJ oraz Instytut Badań Literackich PAN.

Tom zawiera trzynaście rozpraw m. in. takich badaczy, jak Włodzimierz Maciąg, Kazimierz Wyka, Jan Błoński, Mieczysław Karaś, Marian Stępień czy Stanisław Barańczak. Rozpiętość tematyczna rozpraw — olbrzymia.

Znajdziemy tu zarówno rozważania o „powieści milicyjnej" jak i o drodze Tadeusza Różewicza od poezji do prozy. Są tu uwagi o polszczyźnie w prozie powojennych debiutów oraz rozważania na temat języka pisarzy nurtu wiejskiego. Jest rozprawa o krytyce literackiej i esej o dialektyzmach kresowych w polskiej powieści powojennej... Krótko mówiąc zawarto w tym zbiorze cały konglomerat spraw z kręgu naszej współczesnej literatury.

„W kręgu literatury Polski Ludowej" Wyd. Literackie, cena 60 zł.

100 DNI WARSZAWY

Był taki okres w dziejach Warszawy, którego prawie nie wspominają kroniki. Publikacje i dokumenty ostatniego trzydziestolecia ukształtowały prawie pełny obraz powstania warszawskiego, aż do jego kapitulacji. Był to obraz całkowitej zagłady miasta.

Ale czy śmierć miasta nastąpiła w ciągu dwu miesięcy walk powstańczych? Czy też stało się to później, kiedy hitlerowcy dokonywali aktu zemsty nad zbuntowanym miastem?

Ten właśnie rozdział historii Warszawy posiada niezwykle znikomą bibliografię. Niewielu bowiem było świadków wydarzeń — za pobyt na terenie miasta skazanego na śmierć groziła wtedy także kara śmierci. Niechętnie też wspominali ten okres hitlerowscy generałowie, występujący w powojennych procesach częściej w roli świadków niż oskarżonych.

Powstała jednak książka mówiąca o 100 dniach Warszawy — o ponad 3 miesiącach Warszawy burzonej, palonej i wysiedlanej. Książka Stanisława Kopfa jest pomnikiem męczeńskiej stolicy Polski sprzed trzydziestu lat.

Stanisław Kopf „Sto dni Warszawy" Książka i Wiedza cena 15 zł

WSZYSTKO O WARSZAWIE

Wydawać by się mogło, że o Warszawie opublikowano taką masę folderów, bedekerów i przewodników, że już nas wydawcy niczym interesującym nie zaskoczą. A stało się inaczej.

Informator „Wszystko o Warszawie" jest publikacją oryginalną, niecodzienną i bardzo potrzebną. Różni się on bowiem zupełnie od dotychczas wydawanych przewodników. Nacisk położono przede wszystkim na wieloraką informację z różnorodnych dziedzin życia stolicy. Turysta dowie się na przykład nie tylko o budowlach historycznych, architekturze, pomnikach — lecz również gdzie wymienić pieniądze lub zarezerwować hotel, gdzie zrobić zakupy, gdzie smacznie zjeść — gdzie i w jakich godzinach otwarte są stacje benzynowe i warsztaty naprawy samochodów... Turysta znajdzie tu wszystkie potrzebne numery telefonów, znajdzie rozkłady jazdy autobusów i tramwajów, wykaz automatów telefonicznych, bazarów, skrzynek pocztowych i przejść podziemnych oraz spis nlic...

Po prostu — jest na ponad 200 stronach przewodnika całkowicie pełna informacja o Warszawie. Dodatkowo publikacja zawiera 29 planów — mapek obejmujących cały zabudowany obszar miasta.

Julian Bystrzanowski i Konrad Dutkowski (tekst) Jerzy i Wiesław Ostrowscy (plany) — „Wszystko o Warszawie" Wyd. Sport i Turystyka, cena 50 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

F. Ryszka — „Polityka i wojna" PIW, cena 40 zł,
A. Sicinski — Młodzi o roku 2000" Wyd CRZZ, cena 40 zł,
P. G. Foote — „Wikingowie" PIW, cena 100 zł,
V. Moberg — „Jedź dziś nocą" Wyd. Poznańskie, cena 38 zł,
B. Suchodolski — „Labirynt współczesności" PIW, cena 20 zł.
F. Wójcik — „Problemy i systemy" Wyd. MON, cena 9 zł,
W. Kowalski — „Poczdamski ład" Wyd MON, cena 10 zł,
J. Dużyk — „Władysław Orkan" LSW, cena 70 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

NYCZEK USTAWIA MLECZKĘ

Krakowski tygodnik „Student" ma w podtytule przymiotnik „społeczno-kulturalny" i jest to pismo bardzo interesujące. Kraków ma zresztą jakieś dziwne szczęście (albo atmosferę cieplejszą, bo to przecież bardziej na południu) do dobrych pism. Kiedyś była tu znakomita „Zebra", potem parę razy wpadło mi do rąk świetne pismo wydawane przez Dom Kultury „Pod Baranami"... No i oczywiście — „Życie Literackie".

Ale wróćmy do „Studenta".

Zastanowił mnie w ostatnim numerze benefis Andrzeja Mleczko. Podobno jest to „ojciec polskiego komiksu". Nie wiem czy Mleczce taka sława klasyka jest potrzebna. Ja po prostu lubię jego rysunki. Nie ja jeden zresztą, bo Mleczko rysuje w „Przekroju", „Szpilkach", „Polityce"... W ogóle ostatnio Mleczko ma benefis w polskiej prasie, ale „Student" postanowił pójść na całość i ostatni numer wypełnił dziełami młodego rysownika.

Oczywiście mnie nic do tego — nawet jeśli pod hasłem na pierwszej stronie „Uczymy się służyć socjalistycznej Ojczyźnie" widnieje rysunek Mleczki przedstawiający dychawicznego Pegaza ujeżdżanego przez faceta grającego na harmoszce. Jest to śmieszne w miarę, ale jak się dużo rysuje trudno być zawsze śmiesznym.

Natomiast nie wiem czy dobrą przysługę wyświadczył Mleczce p. Tadeusz Nyczek publikując o nim esej na ostatniej stronie „Studenta". Pan Nyczek jest niewątpliwie bardzo oczytany — zna więc starą anegdotę o pewnym pianiście. Otóż pytają ojca artysty czemu to syn tak rzadko koncertuje w kraju.

— A przeciwko komu on tu może grać — odpowiada pytaniem ojciec.

No właśnie. Panu Nyczce nie wystarcza, że Mleczko jest bardzo utalentowanym i bardzo dowcipnym rysownikiem. Panu Nyczce nie wystarcza, że ogłasza Mleczkę „ojcem polskiego komiksu"...

Pan Nyczek ustawia Mleczkę p r z e c i w k o innym rysownikom. Pisze, że Mleczko „nie spełnia także tradycyjnych postulatów satyry jakie usiłują uznać za aktualne i jedynie waż ne nestorzy polskiego rysownictwa — Karol Baraniecki, Ibis-Gratkowski, Eryk Lipiński i im podobni awangardyści przedwojennych i tuż powojennych „Szpilek" i „Karuzeli". Postulaty owe — to w sferze polityki np. potępienie amerykańskiej agresji w Wietnamie bądź izraelskiej na Bliskim Wschodzie (...) Mleczkę jakoś to dziwnie nie interesuje." Koniec cytatu.

Mleczko według Nyczka jest lepszy, bo go nie interesuje jako satyryka agresja amerykańska w Wietnamie. Jakoś to dziwnie zabrzmiało w piśmie noszącym dumne hasło nad winietą.

Nyczek chwali Mleczkę za „kreskę rozpoznawalną na pierwszy rzut oka". Jest to oczywiście powód do chwały, ale oryginalną kreskę mają rysunki większości polskich rysowników, w tym także zlekceważone przez Nyczka pracę Braniecklego, Gratkowskiego i Lipińskiego.

Nyczek chwali Mleczkę za brutalność i ma rację bo Mleczko nie jest cukierkowy. Ale może go czasem zawodzi wyczucie, gdy ze sceny gwałtu robi dość płaską i banalną groteskę.

I może go zawodzi wyczucie gdy ze sceny śmierci robi pusty i płaski żart?

Nie wiem — nie mam takiej pewności, jaką reprezentuje Nyczek. Rysunki Andrzeja Mleczki najczęściej mi się podobają, ale nie podoba mi się pananyczkowa przesada. Nie wydaje mi się żeby zdolnemu, młodemu artyście potrzebne było ustawianie go p r z e c i w k o wcale nie najgroszej tradycji polskiej satyry, p r z e c i w k o innym starszym artystom, których dorobek jest trwałym osiągnięciem prawie półwiecza postępowej satyry w Polsce.

Ja myślę, że Tadeusz Nyczek chciał dobrze. Tak jak ten kibic na meczu, który celował butelką w sędziego, a trafił w innego kibica.

WIDOK

KSIĄŻKA

NOCNA STRATEGIA

„Kwadry księżyca" Janusza Królikowskiego są drugim jego tomikiem poetyckim (w 1966 r. w „Bibliotece Poetów" ukazał się „Las otwarty dla wspomnień"). Zbiorki te różnią się w sposób sugerowany już przez ich tytuły. Wiersze debiutanckie były przede wszystkim świadectwem i relacją ze swoistego trudu człowieka, który „Po śmierci / żywy / umarłego niesie / A potem dźwiga jeszcze przestrzeń / która wypełnia nieobecnych". „Kwadry księżyca" są nie tylko rozpoznaniem niełatwej sytuacji, zresztą bardziej precyzyjnym, w swej konsekwencji prawie obsesyjnym, lecz także — i zwłaszcza — poszukiwaniem adekwatnych wyborów, odpowiedniej dla danego stanu rzeczy postawy.

W ostatnim tomiku Królikowskiego wszystkie bez mała utwory, z wyjątkiem kilku końcowych, dość przypadkowych, nie współtworzących poetyckiej wizji, przypominają, że „Dzień kołem się toczy / ale noc jest wieczna". Zdanie to pochodzi z utworu „W pozycji dźwigającej" — dość banalnego w stwierdzeniach, niemniej będącego dramatycznym wskazaniem na podstawową właściwość ludzkiego losu (podobnie było w „Lesie otwartym dla wspomnień" — przypomnijmy „Tragarzy", czy przywołany wcześniej fragment, otwierającego tomik, „Wiersza").

W sytuacji, gdy nasilenie aktywnej ciekawości poznawczej przypada na momenty przebudzenia, a ma ono miejsce między innymi, „bo znalazłem jeszcze jedno wyjście / Z tego labiryntu gdzie nadal umieram" (spostrzeżenie z długą tradycją, bodaj od znanej fraszki Kochanowskiego), gdy „nikt nie wie kiedy kończy się sen / a gdzie zaczyna się jawa" („Zamknij okno"), gdy nie ma szansy na światło: „Niewidzialne kopyta depcą błękit / światło stacza się ze szczytu — zepchnięty kamień" („Pojedynek". / a „Po nocy znów przychodzi noc / żelazna pokrywa opada na senne oblicze" („Rozbijanie twarzy") — nie może być mowy o wzlotach Ikara, wzlotach za — i w imię słońca.

Światło które spadło przez otwarte oczy
Dziś rozjaśnia pamięć o przebytym locie
(...)
Budzę się z pamięci jak posąg z kamienia
W jeden gest zamknięty i w jedno spojrzenie
(„Przebudzenie")

Jawić się może i „jawi" „zaproszenie do lotu — ów dym na tle wysokiego nieba" („Czerpiąc ze mnie"), ale „kamienna" egzystencja bywa różną materializacją swej esencji — nie tylko „kamieniem młyńskim na szyi topielca", czy „kamieniem wyrocznym" („Wznoszę się pełzaniem") — „Okropne dopiero bywają kamienie / kiedy z góry pędzą / Na przykład kościół / z wieżą w dymie / — dym jest z ognia twego" („W pozycji dźwigającej").

„Tyle jest we mnie rzeczy spalonych, / A ile do spalenia" — orzekał autor kończąc poprzedni tomik. I w obecnym zresztą z pamięcią o zamordowanych rodzicach wkracza do utworów epoka dymów („Czarny garnitur mego ojca", „Do matki").

Noc nie jest stanem danym, zewnętrznym w stosunku do ludzkiej aktywności. Jest efektem, konsekwencją i scenerią ich poczynań. Z cierpką, masochistyczną refleksją o swej robaczej egzystencji, zawartą w wierszu o sarkastycznym tytule — „Wznoszę się pełzaniem", sąsiaduje przekonanie o usprawiedliwionej i nadrzędnej w stosunkach międzyludzkich nienawiści („I ten szybko upływający czas", „Nóż", „Prodrom", „Rozbijanie twarzy"). W sposób dość powszechny, odpowiadający obiegowym uproszczeniom, formułuje autor zasadę mechaniki nienawiści:

I nienawiść posiada swoich dawców krwi
oraz potężne ramiona służące
jako podpory systemu
Wielcy wodzowie umierają przeważnie
z wyroku sprytniejszych wodzów
w ostatniej godzinie epoki
którą powołali do istnienia (...)
Ustalenie wypadkowej rozwoju wydarzeń
nie zabezpiecza przed klęską
o wszystkim decydują kwadry księżyca
albo przypadek
(„Kwadry księżyca")

Jasne, że efektem tej wizji musi być wybór strategii, stanowiący odpowiedź na pytanie: „Jak przetrwać gdzie pochylić głowę / by czoło / które świeci w mroku / nie stało się strzelniczą tarczą" („Świecenie w ciemności"). Propozycji jest niewiele, wahają się one pomiędzy poznawczą abnegacją: „Zamknij okno przez które wchodzi / istota nie nazwana/ zatrzaśnij drzwi wiecznie uchylone / dla nowych znaczeń / ciekawość nie popłaca" („Zamknij okno"), a lękliwą propozycję heroizmu: „Czy wystarczy światła aby unieść ciężar / i powiedzieć więcej niż znaczy milczenie / Na przykład niech będzie wzlatujące słowo / które trwa w ciemności / bo nie rozpoznane / Czy zdążysz je nazwać tak celnie że trafisz" („Czy wystarczy światła").

Jak w dobrej, tradycyjnej liryce pojawia się w tomiku Królikowskiego poetyckie samookreślenie oraz ars poetica. W „Zamiast autoportretu" raz jeszcze dochodzi do głosu obsesyjny ton zbiorku: „Wyglądam ostatnio jak mięso / przeznaczone do zjedzenia"; podobnie w „Balladzie (2)": „Na wszystkie strony odwraca się z przerażeniem / jak gdyby miała pewność że ludzie / to małe bezlitosne bestie".

W końcowych wierszach zbiorku, eksponujących motyw podróży, dramatycznego wysiłku człowieka („pojąłem czym jest człowiek / idący dalej niż mu na to / pozwala góra"), pojawia się określenie autorskiej misji, znów w zgodzie z tradycją wysoko oceniające społeczną rangę poezji:

Odtąd nie piszę lecz buduję
dom ten wygodny dla rozmyślań
by w nim znaleźli odpoczynek
strudzeni marszem podróżnicy.

To niespodziewane wskazanie czytelnikowi Domu Wygodnej Medytacji zamyka ciąg nie nazbyt odkrywczych konstatacji nocnego czasu i nocnej strategii, w których banalność „rozmyślań" sąsiaduje ze szczerym dramatyzmem opisu.

WIESŁAW PUSZ

Janusz Królikowski, Kwadry księżyca, Łódź 1974.

PROPOZYCJE

GŁÓWNY i BOCZNI WINOWAJCY

Z wielkim zainteresowaniem i zaskoczeniem jednocześnie przyjąłem list **Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Kujawy" w Brzeziu koło Włocławka**, gdyż jest to nie tylko zdrowy objaw reakcji na krytykę prasową, ale też zjawisko w naszym życiu społecznym raczej niecodzienne. O **„Kujawach"** pisałem w felietonie **„Żaby w internacie"**, a felieton ten powstał w oparciu o telewizyjna **„Panoramę"**. **„Kujawy"** mogły udać, że „Odgłosów" nie znają, wychodza one przecież w innym województwie, a poza tym posłużyłem się przykładem tego przedsiębiorstwa w ogólniejszych rozważaniach. Ale nie. **„Kujawy"** uznały, że należy odpowiedzieć i odpowiedziały, za co — choć nie ze wszystkim się zgadzam, co w tej odpowiedzi napisano — wdzięczność moja przeogromna i satysfakcja wielka.

Nie przeszkadza to mi jednak, że listem **„Kujaw"** posłuże się w opisywaniu zjawiska, które mnie niepokoi. Najpierw jednak kilka zdań z listu **„Kujaw"**.

„W procesie inwestycyjnym — pisze kierownictwo „Kujaw" — **uczestniczy wielu kontrahentów, takich jak inwestor, biuro projektów, generalny wykonawca, cały szereg jednostek specjalistycznych w grupie podwykonawców. Jak z tego wynika generalny wykonawca jest na pewno jednym z głównych ogniw procesu inwestycyjnego, co nie znaczy, że ma wyłączność w decydowaniu.**

Oceny stanu budowy Fabryki Akcesoriów Meblarskich w Rypinie dokonała już wielokrotnie prasa, robiąc to w sposób wszechstronny i obszerny, czego w takiej formie ze względów zrozumiałych nie może zrobić telewizja".

I na dowód prawdziwości załączono wycinek z **„Gazety Pomorskiej"**, na łamach której **Ryszard Jaworski** swój **„Raport z placu budowy FAM w Rypinie"** zatytułował: SZANSY NIE WYKORZYSTANO". Pisze on:

„Umowa przewiduje, że w ostatnim dniu grudnia rypińska FAM wejdzie do produkcji. Zdaniem jednak inwestora i samych przedstawicieli „Kujaw", jeśli nadal Włocławskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych BP będzie pracować w dotychczasowym tempie, nawet ten końcowy termin może okazać się mało realny".

Przypomnę jeszcze, że **„Kujawy"** są generalnym wykonawcą budującej się w Rypinie fabryki, która ma już od 1 stycznia 1976 roku wzbogacić polski przemysł meblarski w różnego rodzaju okucia, których obecnie nieustannie brakuje, gdyż jedyna w kraju fabryka nie jest w stanie sprostać potrzebom całego przemysłu. Budowa fabryki w Rypinie jest więc sprawą dość istotną i posiadającą ogromne znaczenie społeczne, stąd zainteresowania nią telewizyjnej **„Panoramy"**.

Jak wynika z wcześniejszej publikacji **„Gazety Pomorskiej"** (marzec bieżącego roku) przy budowie FAM w Rypinie popełniono tyle błędów, że aż przykro o tym dowiadywać się, a winę za nie wszystkie złożono na kark generalnego wykonawcy czyli **„Kujaw"**. I nie dziwota, że **„Kujawy"** bronią się. — Dlaczego niby mają tylko nas publicznie potępiać — powiadają **„Kujawy"** — skoro winowajców jest wielu. Z punktu widzenia przedsiębiorstwa takie rozumowanie jest słuszne i trudno z nim się nie zgodzić. Ale też istnieje inny punkt widzenia.

Kierownictwo „Kujaw" pisze:

„Ustosunkowując się do artykułu „Żaby w internacie" nie chcemy powiedzieć, że nasze przedsiębiorstwo pracuje bezbłędnie i nie notuje potknięć, chcemy jednak być oceniani obiektywnie i nie chcemy sami odpowiadać za błędy wszystkich uczestników procesu inwestycyjnego".

Mimo całej sympatii, jaką mam dla **„Kujaw"**, nie mogę oprzeć się pytaniu: — kto wobec tego zawinił w sprawie FAM w Rypinie? Kogo należałoby „postawić do kąta"? Odpowiedź, że wszystkich — jak to sugerują „Kujawy" nie bardzo mnie przekonuje, bo wszystkich, to — w gruncie rzeczy nikogo. Tytuł „generalnego wykonawcy" zobowiązuje jednak do generalnej odpowiedzialności.

Przykład **„Kujaw"** i FAM w Rypinie ujawnia tylko ogólną nieprawidłowość, jaka zagnieździła się w procesie inwestycyjnym, a która znajduje też odbicie w innych dziedzinach życia — dążenie do rozkładania odpowiedzialności. Tam, gdzie do głosu dochodzi specjalizacja, tam musi być współpraca, współdziałanie i współodpowiedzialność. Ale też musi być ktoś najważniejszy, kto kieruje całością i na kim spoczywa odpowiedzialność za wynik końcowy. W procesie inwestycyjnym — nasuwa się to logicznie — takim „kimś" powinien być generalny wykonawca.

Ale tu odpowiedzialność nie równa się egzekutywie. Generalny wykonawca może ponosić całą odpowiedzialność, jeśli miałby możność „rozprawiania się" z podwinowajcami, ale takiej możliwości nie ma. System kar konwencjonalnych, jeśli nie jest odczuwalny na wysokości zarobków tych, którzy źle pracują, nie zdaje egzaminu. Jest to bowiem tylko przekładanie pieniędzy z jednego konta na inne konto. A z drugiej strony jest pośpiech, niewłaściwy spływ dokumentacji, opieszałość w przygotowywaniu placu budowy, zahamowania w dostawach materiałów — czyli t r u d n o ś c i o b i e k t y w n e, którymi można ciągle jeszcze wszystko wytłumaczyć i usprawiedliwić. Bicie głównego wykonawcy spotyka się więc z protestami. Ale przecież trzeba coś z tym wreszcie zrobić!

MARCIN RODAK

NIE TYLKO HISTORIA

ZAPOMNIANA LITERATURA

Julian Ursyn Niemcewicz w przedmowie do „Śpiewów historycznych", dzieła które dla kilku pokoleń Polaków było swego rodzaju literackim podręcznikiem historii ojczystej, krzepiącym ducha w ciężkich czasach zaborów, pisał: „Wspominać młodzieży o dziełach jej przodków, dać jej poznać najświetniejsze narodu epoki, stowarzyszyć miłość Ojczyzny z najpierwszymi pamięci wrażeniami, jest niecomylny sposób zaszczepienia w narodzie silnego przywiązania do kraju: nic już wieneczas tych pierwszych wrażeń, tych rannych pojęć zatrzeć nie zdoła, wzmagają się one z latami, usposabiając dzielnych do boju obrońców, do rady mężów cnotliwych". Chociaż zmieniały się czasy, zmieniała się literatura, przeświadczenie o wychowawczo-patriotycznej roli literatury historycznej dla młodzieży nie opuszczało naszych twórców nie tylko w ubiegłym, XIX stuleciu. Bo czyż właśnie podobne — rozumiane odmiennie, na współczesny sposób — cele nie przyświecają i współczesnym pisarzom, sięgającym po temat historyczny w utworach, adresowanych do młodzieżowego czytelnika?

Wprawdzie w okresie pozytywizmu tak wybitny pisarz i pedagog w jednej osobie, jak Adolf Dygasiński głosił, że historia dla dzieci „zaledwie wyszłych z pieluch" jest zwykłym nonsensem, że powieść historyczna dla dzieci i młodzieży to „fałsz pedagogiczny w pełnym znaczeniu tego słowa", przecież również i w tym okresie historyczna literatura młodzieżowa święciła swoje zapomniane dziś triumfy. Gertruda Skotnicka, która poświęciła jej monografię p.t.: „Pozytywistyczne powieści z dziejów narodu dla dzieci i młodzieży", wydaną przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe (1974), zamieściła na końcu książki wykaz autorów i dzieł, poświęconych poszczególnym okresom historii Polski. Niewiele tu nazwisk znanych i czytanych dziś pisarzy. Autorem jeszcze dziś czytywanym jest z pewnością Walery Przyborowski, który w swych historycznych powieściach dla młodzieży opracował niemal całość dziejów polskich. Pisał o czasach najdawniejszych, legendarnych, o epokach piastowskiej i jagiellońskiej i późniejszych, aż po czasy wówczas najnowsze, skoro w początkach XX w. wydał powieści o walkach powstańczych w powstaniu listopadowym (Pod Stoczkiem, Olszynka Grochowska, Adiutant Naczelnego Wodza, Reduta Wolli). Któż jednak zna dziś i pamięta utwory takich pisarzy, wówczas znanych, jak Zuzanna Morawska, Jadwiga Papi, Michalina Zielińska, Stefan Gębarski, Paulina Krakowowa, Władysława Izdebska? A przecież ich powieści takie jak „Giermek książęcy" Morawskiej, „Branka litewska" Zielińskiej i inne, kształtowały historyczne wyobrażenia naszych pradziadów i dziadów!

Chociaż epoka pozytywizmu zaznaczyła się u nas rozwojem krytycyzmu w stosunku do polskiej przeszłości, przecież autorzy historycznych powieści dla młodzieży nieczęsto hołdowali tym wskazaniom naukowej historiografii. Przeciwnie, woleli czerpać z ojczystych dziejów przykłady budujące, pozytywne, krzepiące ducha niż mówiące o wadach i błędach przodków. Krytyk W. Nowicki oceniając jedno z wydanych ówcześnie dzieł podkreślał, że pisząc dla młodzieży, należy być „bardzo oględnym w wybieraniu dla niej obrazów z tej przeszłości, żeby nie przedstawić jej w świetle niekorzystnym i nie przyjść w pomoc tym właśnie, co usiłują serca i umysły młode od niej odstręczyć". Bo przecież zaborcza szkoła przedstawiała dzieje Polski już nie w krytycznym, lecz wręcz krzywym zwierciadle. Dlatego część pisarzy i krytyków uważała, że młodzieżowa literatura historyczna winna być pisana „ku pokrzepieniu serc", optymistyczna w poglądzie na przeszłość, wydobywająca z niej blaski, nie zaś cienie. Maria Ilnicka, autorka bardzo poczytnego podręcznika historii Polski dla młodzieży dowodziła, że dobrze jest idealizować przeszłość, aby nie dopuścić do tego, by literatura „rzuciła na młode wyobraźnie swój cień ponury". Szkoda tylko, że autorka wspomnianej monografii G. Skotnicka owe tendencje apologetyczne w stosunku do przeszłości, jakie rozwijały się w drugiej połowie XIX w., niezbyt fortunnie zestawia z... poglądami H. Rzewuskiego i M. Grabowskiego. Apologetyzm apologetyzmowi nie jest równy, podobnie zresztą jak krytycyzm. Przecież powinno się tu postawić pytanie: czego dotyczył? Reakcjoniści w stylu H. Rzewuskiego i M. Grabowskiego wychwalali pod niebiosa w polskiej przeszłości to, co było szlacheckie, doszukiwali się blasków w czasach saskiej anarchii, a ich ulubionym bohaterem był Karol Radziwiłł „Panie Kochanku" i jego „Albeńczycy". Za to na Polskę reform i Konstytucji 3 Maja pisarze obozu reakcji patrzyli z największym krytycyzmem. Tego zaś o M. Ilnickiej powiedzieć nie można. Chwalenie chwaleniu nierówne: co innego oznacza, gdy chwali się rokosze, zajazdy, anarchię, co innego, kiedy pochwałą obdarza się to właśnie, co zmierzało do zniweczenia tej spuścizny przeszłości. Ale by wszystko to dostrzec, potrzeba szerszej perspektywy badawczej, wykroczenia poza zasięg tradycyjnej historii literatury.

Nie chciałbym oceniać tej książki zbyt surowo. G. Skotnicka uczyniła wiele, skoro zbadała obszerny zasób zapomnianej literatury, żywiącej historycznymi treściami serca i umysły polskiej młodzieży przed laty, zanalizowała, jaka to była historia. Wykazała, że ta powieściowa historia na ogół dobrze trzymała się realiów przedstawianej epoki i pod tym względem wiele zawdzięczała naukowej historiografii. Ale jednocześnie bardzo odbiegała od niej w skali prezentowanych ocen i na ogół nie hołdowała pozytywistycznemu historycznemu krytycyzmowi. Wszystko to ma istotne znaczenie dla znajomości polskiej myśli i świadomości historycznej w drugiej połowie XIX w.

LEKTOR

REPORTAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

ła, że odwiedzi ich ciotka, która była modelką portretów Witkacego. Mało: znajoma artysty jest w posiadaniu kolekcji takich autentycznych obrazów, tudzież listów i innych pamiątek po nim.

Ciotka Beaty, czyli pani Eugenia Wyszomirska-Kuźnicka, którą w młodości rodzinnie i towarzysko nazywano Hanką, poznała Witkacego na początku lat trzydziestych w Warszawie.

— To było wiosną, w pogodny dzień, na Chmielnej. Szłyśmy z moją ciotką w kierunku Marszałkowskiej. Nagle ciotka powiedziała, że trzeba przyspieszyć, bo jakiś dziwny typ idzie z tyłu i podejrzanie nas obserwuje. Rzeczywiście, za nami szedł dziwaczny mężczyzna, niemłody ale przystojny, bardzo wysoki i śmiesznie ubrany: kurtka ściągnięta pasem, szerokie pumpy i wielki biały kapelusz. Szedł szybko i wkrótce zastąpił nam drogę. Spod kapelusza przeszywał nas płonący wzrok ponurych oczu.

— Witkiewicz-Witkacy jestem — przedstawił się, a do mnie: — czy mogę namalować pani portret? Gdziekolwiek — dodał, patrząc na ciotkę — choćby w pani mieszkaniu.

Później zwierzał się, że musiał ją wówczas zaczepić, bo ponoć była podobna do jego wielkiej i tajemniczej miłości. Dziewczyna traktowała te zwierzenia bez zainteresowania, była przecież bardzo młoda, lubiła tańczyć, a poza tym — kochała się w swoim przyszłym mężu. Witkacy mieszkał na Brackiej, ale p. Hanka spotykała go częściej w Zakopanem, gdzie przebywał najchętniej, w towarzystwie wielu znakomitości ze świata twórczego. Pani Eugenia przypomina sobie, że Witkacy godzinami spierał się o coś z Leonem Chwistkiem, pamięta drobną postać Bruno Schulza, o którym wówczas wiedziała tyle tylko, że uczy rysunków w Drohobyczu oraz pisze opowiadania, które Witkiewicz bardzo ceni. „Kiedyś — mówi dalej p. Kuźnicka — przyjechaliśmy z jakiegoś balu, Stasio (Witkacy, oczywiście) był z czegoś niezadowolony, toteż ulotnił się niepostrzeżenie. Rano przyszedł Boy-Żeleński i tańcząc (tak!) wręczył mi kartkę od Stasia: „Wymyłem się, wyspałem, przyszedłem prosić na śniadanie". Stał już w drzwiach. Jeszcze przed śniadaniem, między 6 a 7 rano, namalował mi portret —„w tiulu".

Lubił robić portrety biesiadnikom, jeśli jednak Hanka była wśród nich, malował ją najpierw. Urzekła go jej twarz, a właściwie charakterystyczna asymetria twarzy, co i dziś można stwierdzić, szczególnie gdy się patrzy na powieki. Nazywał ją „Damą Asymetryczną".

W życiu codziennym był milczący i chmurny, a jeśli ktoś w towarzystwie mu się nie spodobał, natychmiast je opuszczał. Był muzykalny, lecz nie znosił radia, omijał nawet lokale, z których słychać było muzykę. Nie cierpiał całowania kobiet w rękę, wyjątek taki czynił tylko w stosunku do własnej matki, jeżeli zaś chciał wyrazić szacunek innej kobiecie, to na powitanie przykładał jej dłoń do swego czoła. Kolekcjonował parasolki osób, które go fascynowały. Kiedy miał dobre samopoczucie, okazywał się błyskotliwym erudytą, twórcą sytuacyjnych dowcipów, znamionował go szybki refleks.

Złośliwi robili mu opinię pijaka i narkomana. Pani Eugenia to dementuje. — Owszem, zdarzało się iż używał narkotyków jako formy eksperymentu w akcie twórczym, nie był abstynentem, ale miał długie okresy, kiedy wykazywał silną wolę. Nie pił wówczas, a nawet nie palił, co zresztą można wyczytać z dopisków na obrazach. Nie żył z żoną, ale podkreślał, że jest ona jego przyjacielem i powiernikiem. Pani Eugenia znała ją ze wspólnych wycieczek w góry.

Po raz ostatni widziała się z artystą na Krupówkach w sierpniu 1939 roku. Był przygnębiony. Prosił, aby strzegła portretów i wystawiała je, gdyby nie wrócił. Miał wyjechać na południe. W Jeziorach pod Baranowiczami samobójcza kula przecięła jego życie. Był to 18 dzień wojny.

3.

Pisał do p. Eugenii mnóstwo listów, najczęściej na karteluszkach, nalepkach od piwa czy odwrocie jakiegoś rachunku, niedbale, fioletowym atramentem. Podpisywał się: Witkacy,

RAFAŁ ORLEWSKI

ASYMETRYCZNA DAMA czyli – w ślad za Witkacym

a czasem — St. de Vitecosse. Oto niektóre z tych listów (z zachowaniem oryginalnej pisowni i interpunkcji)

(Warszawa) 18/I 1935

Szanowna i Droga Pani:

Z powodu zębów zapóźniłem się, będę koło 20/I i zaraz dam znać o przyjeździe. Odkładałem przesyłkę ze względu na (ciągle odkładany) przyjazd.

Łączę wyrazy szacunku i sympatji

Witkacy

Zakopane, dn. 1/IV 1935

Wielce Szanowna Pani!

Najserdeczniej dziękuję za tak miłe dotąd i cenne dowody pamięci o mnie! W perspektywie najbliższej mam wycieczkę i cieszę się że będę mógł zobaczyć Panią jutro* o 10 rano u mnie. Sprostowania żadnego nie otrzymałem i bardzo mimo to również dziękuję.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdecznie pozdrawiam

Witkacy

* Wtorek. B. Panią proszę jutro wcześnie aby się porozumieć co do wycieczek. **(dopisek na marginesie listu).** T.zw. „ekonomiczny" list.

20/IV 1935

Szanowna i Droga Pani:

Ponieważ dziś byliśmy z moją żoną na pępku w Kondratowej ponad Kamieniem, więc jutro wycieczka niemożliwa. Prosimy Państwa jeśli tylko pogoda możliwa o 9-tej rano w poniedziałek. **Proszę aby Pani** koniecznie **uwolniła się na 2 godziny we** wtorek, **przyszła do mnie 1/2 2giej na rozmowę** istotną **i 1 (ew. 2) rysunki** przed **orgią. Ew. zostałaby Pani u mnie na** obiedzie. **Zacznę pić o 11 rano aby wcześniej skończyć.**

Łączę wyrazy szacunku i sympatji

Witkacy

(dopisek na marginesie): Żona wyjeżdża w poniedziałek wieczór

(Zakopane) 2/VIII 1937

Szanowna i Droga Pani:

Czy mogę prosić panią o zajście do mnie we środę około 1-szej. Mam glątwę po ost. rysunku. Ciekawy jestem jak się Pani spodobał mąż w stanie glątwy.

Łączę dla Obojga Państwa wyrazy szacunku i sympatji

Witkacy

W Warszawie prowadził Witkacy zakład portretowy. Swego rodzaju curiosum jest (przepisuję treść okładki) **Regulamin Firmy Porterowej „S. I. Witkiewicz" 1932 Warszawa.** Oto wyjątki regulaminu:

Motto: Klijent musi być zadowolony. Nieporozumienia wykluczone.

Regulamin wydrukowany jest w tym celu, aby oszczędzić firmie mówienia po wiele razy tych samych rzeczy.

§ 1. Portrety wytwarza firma w następujących rodzajach:

1. — Typ A. — rodzaj stosunkowo najbardziej t.zw. „wylizany" (...)

2. — Typ B. — rodzaj bardziej charakterystyczny, jednak bez cienia karykatury (...) Stosunek do modela objektywny.

3. — Typ. B + d. — Spotęgowanie charakteru, graniczące z pewną karykaturalnością. Głowa większa niż naturalnej wielkości. (...)

4. — Typ C, C+Co, E+, C+H, C+Co+E itp. Typy te wykonywane przy pomocy C_2H_5OH, i narkotyków wyższego rzędu — obecnie wykluczone. (...) W granicy kompozycje abstrakcyjne, czyli tzw. „Czysta Forma".

5. — Typ D. — to samo osiągnięte bez żadnych sztucznych środków (...)

Wogóle firma nie zwraca wielkiej uwagi na wykonanie ubrania i akcesoriów. Kwestia tła należy tylko do firmy — żądania w tym względzie nie są uwzględniane.

Ilość posiedzeń nie przesądza o dobroci wytworu. (...)

Wykluczona **absolutnie** jest wszelka krytyka ze strony klijenta. (...) Gdyby firma pozwoliła sobie na ten luksus: wysłuchiwania zdań klijentów, musiałaby **już** dawno zwarjować. (...) Nerwy firmy, ze względu **na niesłychaną** trudność zawodu tejże, muszą być szanowane. (...) Portrety kobiece z obnażonymi szyjami i ramionami są o jedną trzecią droższe. (...) Portret nie może być oglądany aż do ukończenia. (...) Dyskusja nad oprawą wykluczona. (...) Dyskusja nad regulaminem jest niedopuszczalna. (...)

4.

Opowieść p. Kuźnickiej zakończyła się zaproszeniem do Katowic. Mieszkanie jej to jedyna w kraju prywatna galeria obrazów Witkacego. Jest ich 27, wszystkie — potrety pani Eugenii malowane w latach 1933—38. Zbiór ten jest zaledwie częścią, bowiem tyle się zachowało z przeszło sto razy utrwalonej przez artystę twarzy Asymetrycznej Damy. W obawie przed rewizją gestapo pani Eugenia zaczęła je palić. Interwencja męża, który właśnie wrócił z pracy, przeszkodziła w dokonaniu kompletnego zniszczenia. 27 pasteli na kolorowych kartonach o jednakowym formacie, oprawionych w oszklone ramki — oglądają teraz wycieczki. Zanim do tego doszło, było wiele kłopotów, m.in. z uzyskaniem odpowiedniego mieszkania. Kolekcja potretów była też eksponowana na wystawach publicznych — w Katowicach, Gnieźnie i Kołobrzegu. Oczywiście portrety są zarejestrowane, a nawet wycenione: aktualnie ich wartość wyraża się sumą miliona złotych. „A jeszcze parę lat po wojnie leżały zwinięte w rulonie i pokrywały się kurzem" — mówi Beata.

Pojechaliśmy z państwem T. w tegoroczną wiosenną niedzielę. Gościnnie przyjęci oglądamy już „na żywo" dzieła Witkacego i znów słuchamy fascynujących opowieści pani Kuźnickiej. Tym razem przedstawia przede wszystkim okoliczności, w jakich portretował ją mistrz Czystej Formy oraz tłumaczy skróty na obrazach. Często powtarza się: n.P.n.π. (nie piję, nie palę). „Na morzu" — profil malowany z pamięci. Mówił, że kiedy płynie motorówką, z morza wyłania się jej twarz. „Kolano pod brodą" — o drugiej w nocy, zastawszy modelkę w takiej pozycji, krzyknął: „Nie ruszać się, bo robię obraz!". Powiedziała: „Boże, jak tu gorąco!" „To będzie na obrazie gorąco" — odpowiedział i nazwał portret „Gorąco w pokoju", „Wamp" — na wieczorze pożegnalnym: „Wygląda pani jak wamp, jakby przed godziną 1000 mężczyzn zmogła", itd. — niektóre jeszcze tytuły portretów: Groszkowa Dama, Przy Lampie, Krzywa Dama, Un rittorno di un ballo mascherato (Powrót z balu maskowego), La Dame Asymetrique.

Wpatrywanie się w portrety pochłania prawie niepostrzeżenie, ale skutecznie. Na każdym artysta utrwalił to, co najbardziej ulotne: przeżycie chwili. Pani Eugenia przerywa opowieść, kiedy spostrzega że przestajemy ją słyszeć. Po dłuższej chwili, jakby przepraszała: „Wiecie państwo, tutaj przychodzą nie tylko wycieczki, także indywidualni wielbiciele twórczości Witkacego. Np. pewien starszy pan zagląda tu co jakiś czas, staje przed obrazem „z szyfonowym szalem", stoi tak pół godziny i lekko tupie nogą. Oczywiście nie słyszy wtedy, co się do niego mówi".

Nie dziwię mu się. Sam czuję się nieswojo, kiedy twarze z portretów Witkacego ożywają, widzę młodą dziewczynę, której spojrzenie i tajemniczy uśmiech czy grymas zarażają „niepokojem, przerażeniem, radosną ekstazą, upojeniem życiem", ujęte brutalnym zestawieniem barw i niespokojnym rysunkiem.

Jak się czuje p. Eugenia w tym swoistym muzeum?" „To jest jej życie, sens jej samotności" — mówi później Beata. Więc nie pytam o więcej szczegółów, a w rewanżu za egzemplarz wspomnianego „Regulaminu" z dedykacją Eugenii Kuźnickiej, ciągle pod wrażeniem portretów i jej osobistym urokiem — wpisuję się do księgi pamiątkowej:

Astymetryczna Damo — z głębi jego czasu
sobą i portretem wielkość mistrza znaczysz —
niech to zapiszę myślą Jana z Czarnolasu:
„Tysiąc było malarzy, a jeden Witkacy".

A znalazłszy się wobec tej, co była strzałem
w wyobraźnię jedyną, do końca w niej śladem,
oszołomiony — nagle zrozumiałem,
że mnie także zaprosił na swoją biesiadę.

A biesiada z duchem Witkacego i panią Eugenią zakończyła się jej wyznaniem:

— Marzę, aby ten zbiór ozdobił kiedyś jedną z sal Zamku Królewskiego w Warszawie...

MINIATURY

BYŁAM TAM WCZORAJ

Ten sam dom, tylko jakby nieco zgarbaciały pod naporem lat. Liście dziko wijącej się winorośli straciły dawną barwę. Poszarzały. Splotły mocniej warkocze, okalając ciemną zielenią-przeplataną rdzawymi kleksami, szyby okienne na piętrze. W dole ogródek. Zamknięty drucianą siatką, jak zwykle. Przez gąszcz wybujałych roślin, prześwitują drewniane, spróchniałe okiennice. Zupełnie, jak okładziny starych ksiąg. Zamiast kartek papieru, widać biel firanek, za którymi życie biegnie normalnym trybem. A mnie majaczą się cienie dawno zmarłych rodziców. Straciłam poczucie czasu. Przywarłam do siatki. Poczułam chłód. A więc jestem, żyję! Tylko, że pierwsze dni tamtego września były bardziej upalne...

Zmierzch uparcie wymiatał rozgadanych ludzi. Ulice pustoszały. Tłuste sadze z komina sfrunęły mi na włosy, jak ptasie pióra. Przestraszyłam się. Właśnie stukot żołnierskich butów ginął na zakręcie szosy, kiedy skrzypnęła furtka. Jakiś maruder, w pełnym rynsztunku, poprosił mnie o wodę. Pobiegłam co tchu, i powróciłam z kubkiem herbaty. Pił spragniony, jak w żarze południa. Jak w ogniu walki. Czy to już wojna? Przerwałam kłopotliwą ciszę, wciąż nie wierząc temu, co mówili starsi. Żołnierz spojrzał zdziwiony i źrenice wypełniły mu się niewymownym smutkiem. Niemieckie samoloty zbombardowały Wieluń! Są zabici i ranni — powiedział. A wy dokąd? — pytałam dalej, jakby groza tych słów jeszcze do mnie nie dotarła. Do Warszawy! — krzyknął prawie. A przecież stałam tuż obok. Zacisnął mocniej dłoń na karabinie, i w oczach nie miał już dobroci. Chciał odejść, ale zatrzymałam go ruchem ręki. Stanął zakłopotany. Zdradziłam swój plan ucieczki z domu oraz wędrówkę brata do Warszawy. Proszę tego nie robić — powiedział poważnie, choć w tonie jego głosu, czuło się ciepłe brzmienie. Nie zdążyłam zareagować, kiedy dodał: Nie godzi się w takich chwilach zostawiać rodziców samych. Będzie im panienka potrzebna. Wystarczy, że brat spełnił swój obowiązek. Wojna się dopiero rozpoczęła. Cały naród musi stanąć w jednym szeregu. Żołnierze i cywile. Młodzi i starzy. Kobiety i dzieci. Wszyscy musimy się zjednoczyć! Nie może być żadnych waśni. Walczyć trzeba będzie nie tylko na froncie, nie tylko orężem. I na panienkę przyjdzie kolej. Na mnie już czas! Muszę gonić za swoimi. To mówiąc, wyciągnął mi z ręki różowy aster. Niech będzie na szczęście! — rzuciłam za samotnym żołnierzem. Stałam jeszcze, nasłuchując, aż ucichł odgłos kroków. A potem patrząc bezradnie w gwieździste niebo, strałam się uporządkować natłok rozbieganych myśli. Myśli trwożnych, choć jeszcze nie znanych, zanim zaistniały fakty.

TAK SIĘ STAŁO

Tego dnia nie zapomnę nigdy! Wrył mi się w pamięć niemym stosem zwęglonych ciał ludzkich. I krzykiem żywych zrozpaczonych matek. I spojrzeniami setek przerażonych oczu. Wrył mi się szlochem tłumu, wędrującego szeroką ulicą do cmentarnych krzyży. I dalej, aż pod fabryczne mury Radogoszczy. Pamiętam, jak szłam tam — jedna z wielu. Tak, jak inni pełna obawy. Tak, jak inni z sercem ściśniętym bólem. W drodze tłum dopadł Niemca, cywila. Bili go. Obrzucali wyzwiskami. Dziwne, ale żałowałam tego człowieka. Przecież tamci uciekli, a on odbierał razy. To, co ujrzałam wtedy pod murami starej fabryki, odebrało mi na moment mowę. Tak, jak wszystkim. Dopiero po chwili nieludzki ryk wstrząsnął setkami istot. Płakaliśmy nad tymi, którzy porozrzucani wokół dymiącej jeszcze fabryki, byli już tylko symbolem męczeństwa. Byli niezbitym dowodem okrucieństwa hitlerowskich oprawców. Przybita grozą sytuacji i ogromem zbiorowego nieszczęścia, nie starałam się nawet odnaleźć bliskich. Było mi obojętne, czy był pierwszym z tych, którzy ratując życie wyskoczyli z płonącego budynku, i pierwsi otrzymali serię z niemieckich karabinów, czy też ostatni. Nie dociekałam, czy leżał przygnieciony stosem „czarnych" kształtów ludzkich, czy też pokrywał ciała towarzyszy niedoli i śmierci. Wszyscy byli jednakowi. Był nierozerwalną częścią tych, którzy cierpieli i polegli. Był tym, po którym płacząc, opłakiwałam wszystkich więźniów obozu zagłady — Radogoszczy. Tak, jak inni opłakiwali razem ze mną — jego. A płacz ten szedł z wiatrem po ulicy Zgierskiej, aż do placu Wolności.

Tego styczniowego, słonecznego dnia 1945 r. nie potrafię już chyba zapomnieć. Przyniósł z sobą śmierć, łzy, radość, i zwycięstwo.

ALEKSANDRA OCHALSKA

U PRZYJACIÓŁ

Niedawno w Moskwie zakończył się międzynarodowy festiwal filmów dziecięcych. W związku z tą imprezą zabrał głos na łamach dwutygodnika „Sowietskij Ekran" znany pisarz Siergiej Michałkow, stawiając zasadnicze pytanie: jakie powinny być filmy dla najmłodszego widza? Oto fragmenty jego wypowiedzi, będące także próbą oceny radzieckich i światowych tendencji w kinie tego specyficznego gatunku.

„Filmów dla dzieci powstaje w ZSRR i na świecie dość dużo — pisze S. Michałkow — na festiwale trafiają najbardziej udane pozycje, ale „na co dzień" nie jest z tą produkcją najlepiej ani u nas ani za granicą. Schematyzm, bezbarwność, przesłodzony sentymentalizm — oto grzechy główne większości filmów dziecięcych. Dodajmy do tego deklaratywność. Niektórzy twórcy jakby nie zdawali sobie sprawy z prostego faktu, że dzieci nienawidzą prymitywnej dydaktyki i moralizatorstwa o wiele bardziej niż dorośli..."

Równie trafne wydają się uwagi S. Michałkowa dotyczące roli i zakresu oddziaływania filmu dla najmłodszej publiczności.

„W przystępnej, wyrazistej formie można z dziećmi rozmawiać o najbardziej skomplikowanych i poważnych problemach... Nie wolno poprzestać na bajkach i ekranizacji dziecięcych klasyków. W równej mierze, albo i przede wszystkim — dziecko interesuje się otaczającym je światem, a więc współczesnością. Należy również pamiętać, że w dzisiejszych czasach wychowawcza funkcja kina jest o wiele silniejsza, niż literatury, plastyki czy teatru. Ekran — to podstawowa rozrywka i pierwsza szkoła myślenia milionów dzieci.

Wśród zagranicznych filmów prezentowanych na festiwalu S. Michałkow wyróżnia polskiego reżysera Janusza Nasfetera, dwukrotnego już laureata tej imprezy, twórcę filmu „Abel, twój brat".

* * *

W moskiewskim czasopiśmie „Muzykalnaja Zizń" ukazała się ciekawa publikacja o rodzinie Szostakowiczów. Obszernie zwłaszcza nakreślono w nim losy dziadka sławnego kompozytora Dymitra Szostakowicza, Bolesława. Urodził się on w polskiej rodzinie Piotra Szostakowicza zesłanego do permskiej guberni. Gimnazjum ukończył w Kazaniu, a podczas studiów uniwersyteckich w Moskwie związał się z ruchem rewolucyjnych demokratów „Ziemia i Wola". Dwudziestoletni wówczas Bolesław stał się inspiratorem i głównym organizatorem ucieczki z więzienia w drodze na Sybir Jarosławą Dąbrowskiego, późniejszego dowódcy wojsk Komuny Paryskiej. W 1866 r. Bolesław Szostakowicz został aresztowany w związku z antycarskim spiskiem Karakozowa i zesłany w okolice Tomska. Później przenosi się do Irkucka, gdzie żył do późnej starości. Zginął w 1919 roku z rąk białogwardzistów Kołczaka.

* * *

Według badań UNESCO Związek Radziecki wydaje obecnie dziesięć razy więcej książek zagranicznych autorów niż w Anglii i czterokrotnie więcej niż w USA. Pod względem liczby wydań przekładów ZSRR zajmuje pierwsze miejsce na świecie.

Wydawcy radzieccy publikują systematycznie antologie obejmujące różne epoki literackie. Dużym powodzeniem cieszy się np. seria „Zagraniczna powieść XX wieku", z której wiele pozycji osiągnęło ponad stotysięczne nakłady (książki Anny Seghers, Ericha Remarque, Wiliama Faulknera i in.).

W latach 1946—74 ukazało się w ZSRR 6300 tytułów książek pisarzy amerykańskich, 5738 francuskich, 3718 — angielskich, 738 — włoskich. Niezależnie od tego wiele zagranicznych nowości literackich trafia do radzieckiego czytelnika poprzez miesięczniki o masowych nakładach (np. „Inostrannaja Litieratura" 615 tys. egz.) gdzie publikowano utwory F. Durrenmatta, F. Sagan, A. Camusa i innych.

* * *

Z okazji naszego święta narodowego odbył się w Hawanie uroczysty koncert, podczas którego odbyło się prawykonanie symfonii „Dwie rzeki — pieśń żałobna ku czci Jose Martiego" Józefa Wiłkomirskiego. Utwór poświęcony jest pamięci bohatera i poety narodowego Kuby, który w 1895 roku zginął w walce z hiszpańskimi kolonistami. Symfonia Wiłkomirskiego jest owocem wieloletnich kontaktów polskiego kompozytora z bratnim krajem, gdzie wielokrotnie odbywał swoje tournee artystyczne.

* * *

Berlińska Komische Oper wystąpiła z pierwszą w Niemieckiej Republice Demokratycznej inscenizacją „Lulu" Alana Berga, jednej z najsłynniejszych oper dwudziestego wieku. Twórca inscenizacji jest Joachim Herz, autorem scenografii Reinhart Timmerman, dyrygentem Joachim Willert. Odtwórczynią partii tytułowej jest Ursula Reinhardt-Kiss, wysoko ceniona przez krytykę za wysoki kunszt wokalny i duże umiejętności aktorskie.

* * *

Leningradzki Teatr Opery i Baletu im. Kirowa wystawił nową operę Andrieja Pietrowa „Piotr I". Autorami libretta, opartego na historycznych dokumentach są N. Kasatkina i W. Wasiliew. Kierownictwo muzyczne Jurij Termirkanow. **(ak)**

„Wojna trzydziestoletnia" PORUCZNIKA ONODY

W marcu 1974 roku na wyspie Lubang, na Filipinach, skapitulował ostatni uczestnik II wojny światowej, japoński porucznik Hiro Onoda. Ukrywając się przez trzydzieści lat w dżungli „kontynuował" Onoda walkę przeciwko Filipińczykom, wykonując rozkaz, który niegdyś otrzymał. W ub. roku wydarzenie to obiegło łamy prasy światowej, a w Tokio powstał nawet specjalny „komitet powitania" powracającego samuraja. Zamieszczamy dziś wyjątek z książki Hiro Onody, w której opisuje on swoją „wojnę trzydziestoletnią".

1.

W połowie października 1945 roku po raz pierwszy zobaczyłem ulotkę, w której wzywano japońskich żołnierzy do złożenia broni i oddania się do niewoli. Któregoś dnia nasza grupa żołnierzy i oficerów upolowała krowę i wlokła ją w mozole do swego obozu, kiedy zupełnie nieoczekiwanie natknęła się na kilku mieszkańców wyspy. Widząc uzbrojonych Japończyków, Filipińczycy rozbiegli się przerażeni, gubiąc jakiś strzęp papieru. Podniósłszy go z ziemi zobaczyliśmy ze zdumieniem, że widnieje na nim napis w języku japońskim: „Wojna skończyła się 15 września. Schodźcie z gór!".

Uznaliśmy to za wierutne kłamstwo, tym bardziej że zaledwie kilka dni wcześniej inna grupa Japończyków natknęła się na nieprzyjacielski patrol i została ostrzelana. Po rozdzieleniu się na grupy ukryliśmy się na stokach gór. Mieliśmy małe namioty, w których ustawiliśmy coś w rodzaju prycz. W mojej grupie już od dawna wprowadziliśmy ostry reżim racjonowania ryżu. odżywialiśmy się także bananami. Niekiedy udawało się nam zastrzelić zabłąkaną krowę.

Od maja do września nieprzyjacielskie patrole codziennie przeczesywały góry i często słyszeliśmy wystrzały.

Jednego z ostatnich dni 1945 roku znaleźliśmy drugą ulotkę, w której znów wzywano nas do złożenia broni. Tego też dnia przeleciał nad nami, nie widząc nas oczywiście, bo byliśmy głęboko zaszyci w dżungli, wielki samolot amerykański B—17 i zrzucił paczkę dużych ulotek. Na jednej stronie ulotek była reprodukcja rozkazu o kapitulacji z podpisem generała Jamasita, głównodowodzącego 14 okręgu wojskowego oraz wytyczne szefa sztabu generalnego dotyczące sposobu kapitulacji. Na odwrocie — topograficzna mapa wyspy, a na niej kółkiem oznaczone miejsca, w których zrzucono ulotki. Znów doszliśmy do wniosku, że wróg chce nas zwabić w pułapkę.

2.

Nastąpił nowy, 1946 rok. Na wyspie spędziłem już całych dwanaście miesięcy. Rankiem 1 stycznia ustawiliśmy się w szeregu, twarzami w stronę wschodzącego słońca i złożyliśmy uroczystą przysięgę, że w nowym roku będziemy pełnić naszą służbę z największym poświęceniem.

Teraz już tylko bardzo rzadko słyszeliśmy wystrzały z karabinów. Z rzadka też niepokoiły nas serie z karabinów maszynowych, z których filipińscy żołnierze siekli po górach, w których mieliśmy nasze kryjówki. Kilka dni po nowym roku dostrzegłem na morzu lotniskowiec, od czasu do czasu nad wyspą przelatywały amerykańskie samoloty myśliwskie. Wszystko przemawiało za tym, że wojna jeszcze się nie skończyła.

W dzień widzieliśmy filipińskich żołnierzy jak rozjeżdżali na samochodach ciężarowych u podnóża łańcucha górskiego. Byliśmy jednak zupełnie spokojni, nie wierzyliśmy bowiem, żeby ośmielili się zapuścić w gąszcz dżungli.

Pewnego upalnego dnia kilku ludzi z mojej grupy, powracając do obozu, natknęło się na odpoczywających żołnierzy filipińskich. Zaskoczeni nagłym pojawieniem się japońskich żołnierzy, Filipińczycy natychmiast otworzyli ogień. Kapralowi Simada udało się ukryć w lesie. Iridzawa i Kobajasi zostali zabici. Pozostało nas tylko trzech: ja, Simada i szeregowiec Kodzuki.

3.

W marcu coraz częściej znajdowaliśmy ulotki z wezwaniem do przerwania działań bojowych. Później żołnierze, którzy oddali się do niewoli, pozostawiali dla nas w przeróżnych miejscach dżungli krótkie informacje na kawałkach papieru. Pisali w nich: „Tym razem szukają was tylko Japończycy. Wychodźcie!". Ale nie pomyśleliśmy nawet przez chwilę, żeby wojna mogła się już skończyć.

Z każdym dniem topniała amunicja. Wychodząc na polowanie staraliśmy się zabić krowę jednym wystrzałem.

Któregoś razu Simada wyszedł na rekonesans, ale niebawem wrócił i bardzo podniecony powiedział:

— Panie poruczniku, niech pan pójdzie ze mną, tylko cicho.

W tym czasie ukrywaliśmy się w sąsiedztwie małego portowego miasteczka. W milczeniu wspięliśmy się na szczyt wzgórza. Tam spojrzałem w dół i... wstrzymałem oddech. Miasteczko dosłownie tonęło w powodzi światła. Po raz pierwszy od mego przybycia na wyspę zobaczyłem światło elektryczne. Usiedliśmy na ziemi i nie mogliśmy od niego oderwać oczu.

Sześć lat nie widziałem elektrycznego oświetlenia, ale widok rozjarzonych lamp nie budził we mnie żadnych tęsknot. Sam się temu dziwiłem. Tak dalece przywykliśmy do życia bez światła, że miasteczko, wraz z tą całą iluminacją, wydało mi się po prostu innym światem, różnym od tego, w którym od lat żyła nasza trójka. Stwierdziliśmy, że port bardzo się rozszerzył. Przedtem były tam tylko kutry i małe łodzie portowe, teraz pojawiły się ogromne śnieżnobiałe okręty. Często dobiegała z nich muzyka i śpiew, głównie piosenki filipińskie, ale od czasu do czasu słyszeliśmy także melodie japońskie.

Pewnego lutowego dnia 1952 roku mały samolot wojskowy zaczął krążyć nad naszym małym obozem. Z samolotu zrzucono ulotki. Później znaleźliśmy te ulotki, a wśród nich list mojego starszego brata. Donosił mi, że wojna się skończyła, że ojciec i matka czują się dobrze, że wszyscy moi bracia zostali zdemobilizowani. Znaleźliśmy także listy od rodzin Kodzuki i Simady z fotografiami ich biskich. Tym razem — pomyślałem sobie. — Jankesi przeszli samych siebie. W jaki sposób udało im się zdobyć te fotografie? Było dla nas oczywiste, że sprawa nie jest czysta, ale jak im się to udało? Koniec końców doszliśmy do wniosku, że to jeszcze jedna pułapka naszych wrogów.

Minął miesiąc. Pewnego razu jakiś mężczyzna przemówił do nas przez megafon: „Dowiedziałem się przypadkiem, że znajdujecie się jeszcze tutaj i przyjechałem, żeby z wami porozmawiać. Nazywam się Jutaka Cuii, jestem dziennikarzem z „Asahi". Później zaczął nucić piosenkę wojskową.

— Znów używają tych swoich sztuczek — rzekłem.

— I nie znudziło się im — podchwycił Simada. — Dlaczego nie przeniesiemy się w inne miejsce.

4.

Zamiast uciec, przekradliśmy się do miejsca, z którego mówił do nas dziennikarz. Tam znaleźliśmy japońską gazetę. W notatce podkreślonej czerwonym ołówkiem przeczytaliśmy: „Podpułkownik Dżimbo udał się na Filipiny, aby nakłonić miejscowe władze do zaprzestania ekspedycji karnych przeciwko japońskim żołnierzom na wyspie Lubang". Przeczytaliśmy całą gazetę i doszliśmy do wniosku, że wróg w jakiś niezrozumiały dla nas sposób wstawił tę informację do autentycznej japońskiej gazety. Skoro mowa o „ekspedycjach karnych", to znaczy, że wojna jeszcze trwa...

*

W 1954 roku Simada zginął w potyczce. Ale porucznik Onoda i szeregowiec Kodzuki jeszcze osiemnaście lat przeżyli w dżungli. I chociaż policja polowała na nich bezustannie, obu Japończykom zawsze udawało się jakoś wymknąć. W październiku 1972 roku Kodzuki został zabity w starciu z Filipińczykami. Onoda pozostał sam.

5.

Ukryłem się w lesie i czekałem nadejścia wieczoru. Było to dnia 9 marca 1974 roku, do przylądka Vikajama pozostało mi niewiele ponad dwie godziny marszu. Musiałem dojść do umówionego miejsca przed zmierzchem: miałem się spotkać z samym majorem Taniguki...

No, nareszcie, jestem prawie na miejscu. Ukryty w zagajniku ostrożnie rozejrzałem się wokoło. Wydawało się, że w pobliżu nikogo nie ma. Dostrzegłem żółty namiot, nad którym powiewała japońska flaga. Odczekawszy jeszcze z pół godziny zacząłem się ostrożnie zbliżać w jego stronę. Stanąłem w krzakach, chyba z dziesięć metrów od namiotu i obejrzałem się uważnie. Wreszcie wziąłem karabin w prawą rękę i wyszedłem na polanę...

Kilka minut później z namiotu wyszedł major. Był w pełnym uniformie. Stanąłem na baczność i złożyłem raport:

— Panie majorze, porucznik Onoda melduje się na rozkaz!

Major podszedł do mnie, poklepał mnie po plecach i powiedział:

— To dla pana od Ministerstwa Zdrowia i Ubezpieczeń Społecznych.

I wyciągnął do mnie karton papierosów z cesarskim herbem na pudełku. Przyjąłem podarunek i przytrzymując go ostrożnie cofnąłem się o dwa kroki. Major mówił dalej:

— Teraz odczytam panu rozkaz specjalny do dowództwa batalionu: „Sztab generalny, 19 września, godzina 14.00. Z rozkazu cesarza, 14 okręg wojskowy zakończył działania bojowe. Zgodnie z rozkazem naczelnego dowództwa armii numer A-2003, specjalny batalion sztabu generalnego zwalnia się od wykonania poprzednich rozkazów. Żołnierze i oficerowie batalionu powinni natychmiast zaprzestać działań wojennych i przejść do dyspozycji wyższego dowództwa". I to wszystko.

Stałem i czekałem, że major jeszcze coś powie. Byłem przekonany, że Taniguki podejdzie teraz do mnie i szepnie: „To wszystko kłamstwo. Prawdziwy rozkaz odczytam później". Uważnie patrzyłem na majora. Minęło jeszcze kilka chwil, ale on milczał. Tornister wydał mi się nagle bardzo ciężki...

Major Taniguki zaczął powoli składać pismo. I teraz zrozumiałem, że tu żadnej pułapki nie ma — wszystko co usłyszałem było prawdą. Oznacza to, że rzeczywiście przegraliśmy wojnę? Jak to się mogło stać? Nagle pociemniało mi w oczach, zakipiałem z gniewu. Zrozumiałem, jak byłem głupi, Po kiego diabła siedziałem tutaj tych całych trzydzieści lat?!

JERZY CZECH

– Wysoka stawka walki w Portugalii
– Co oznacza przewrót w Bangladeszu

Na czołówki dzienników znów wysunęły się **informacje z Portugalii.** Akty terroru, zwłaszcza na północy kraju, inspirowane przez siły reakcyjne, walka polityczna partii, apel o jedność premiera rządu — składają się na **obraz obecnej sytuacji. Jest ona nie tylko złożona i trudna, ale i niebezpieczna,** grożąca — w przypadku niepomyślnego rozwoju wydarzeń — tragicznymi następstwami. Stawką są bowiem zdobycze rewolucji portugalskiej — nacjonalizacja przemysłu, reforma rolna, program poprawy warunków bytu ludności...

Sens zmagań premier Vasco Goncalves wyjaśnił słowami:

„Walka toczy się między tymi, którzy czyniąc użytek z władzy chcą pomóc ludowi, aby ujął on swe losy we własne ręce i tymi, którzy pretendują do przejęcia władzy w imię ludu, aby utrwalić jego eksploatację".

I dodał:

„Odtąd nie ma już więcej miejsca dla tych, którzy opowiadają się za socjalizmem tylko w słowach, dla fałszywych socjalistów".

A takich „fałszywych socjalistów" okazało się być w Portugalii nie mało. Ulękli się oni wysokiego rytmu przemian, który narzucony został kolejnymi kryzysami, i zaczęli je wyhamowywać. Ośmieliło to siły wsteczne do jawnych ataków, podejmowania aktów terroru. Nie w kwietniu ub. roku, kiedy to dokonał się w Portugalii zasadniczy zwrot, lecz teraz polała się krew. Ze wszystkich sił **prawica próbuje nie dopuścić do rozszerzenia udziału ludzi pracy w sprawowaniu władzy.** W tym celu stara się pozyskać średnią i drobną burżuazję. Tymczasem, jak wyjaśnił to Goncalves, drobna burżuazja i pewne warstwy średniej burżuazji nie powinny się niczego obawiać.

„W fazie przejściowej, jako sojusznicy awangardy, składającej się z mas pracujących i MFA, będą oni mieli do spełnienia ważną rolę w budowie nowego społeczeństwa".

Cytujemy premiera rządu, aby wykazać, jak racjonalnie myśli kierownictwo nowej Portugalii. Niestety — reakcji udało się zdezinformować część społeczeństwa, zasiać obawy co do przyszłości. A przecież **cel,** do którego dąży prawica, **jest czytelny: przywrócić faszyzm i wymazać wszystko, co przyniósł dzień 25 kwietnia 1974 roku.**

Portugalia przeżywa trudne dni. Trudniejsze niż w czasie poprzednich kryzysów z 11 marca łącznie. Wyprowadzić z nich może tylko solidarne działanie wszystkich sił postępowych, jedność Ruchu Sił Zbrojnych i jego sojusz z ludem. Takim obrotem sprawy powinna być zainteresowana również Partia Socjalistyczna. W tym miejscu jednakże trzeba po raz drugi powiedzieć: niestety. **Kierownictwo Portugalskiej Partii Socjalistycznej obrało drogę torpedowania posunięć rządu i rozpętywania nastrojów antykomunistycznych.** W rezultacie, zamierzenie czy też nie, pod jego sztandarami skupiły się różne siły wsteczne.

Rozwój wydarzeń w Portugalii postępowa opinia świata śledzi nie tylko z najwyższym zainteresowaniem, ale i uzasadnionym niepokojem.

* * *

Przenieśmy się teraz do innego rejonu świata, **do republiki Bangladesz.** Państwo to uzyskało niepodległość zaledwie przed czterema laty. Jeszcze nie uporało się ze skomplikowanymi problemami przeszłości (była to jedna z prowincji Pakistanu), a tu na przemian tragicznie dokuczyły ludności susza i powódź. Wykorzystały to przeciwko przywódcy państwa — Rahmanowi dwie różne siły — reakcja i lewacy. Rozpętały one terror i sabotaż. Aby opanować sytuację Rahman skupił w swym ręku, jako prezydent, władzę wykonawczą i częściowo ustawodawczą.

Zamach stanu sprzed kilku dni, w rezultacie którego zginął Rahman i cała jego rodzina, **ma na celu zahamowanie postępowych przeobrażeń** w kraju, które mimo przeciwności konsekwentnie wprowadzał w życie dotychczasowy prezydent. Jego następcę — Ahmeda określa się jako polityka prawicowego, przeciwnego dobrym stosunkom Bangladeszu z Indiami i krajami socjalistycznymi. Wyznacza to charakter przewrotu.

Przypomnijmy, że niedawno sięgnęła zenitu ofensywa sił prawicowych w Indiach. Dążyły one jawnie do obalenia rządu Indiry Gandhi. Czy między obu tymi wydarzeniami nie można znaleźć łącznika? Wszystko wydaje się wskazywać, że **mamy tutaj do czynienia z próbą zmiany układu sił na subkontynencie indyjskim.**

Wiadomość o zamachu stanu w Bangladeszu przychylnie przyjęta została w Pekinie. Widocznie przewrót odpowiada politycznym interesom maoistów. Przypuszcza się, że objęcie władzy przez Ahmeda może ułatwić nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Chinami.

WITOLD SŁAWSKI

ISAAC ASIMOV

OSTATNIE PYTANIE

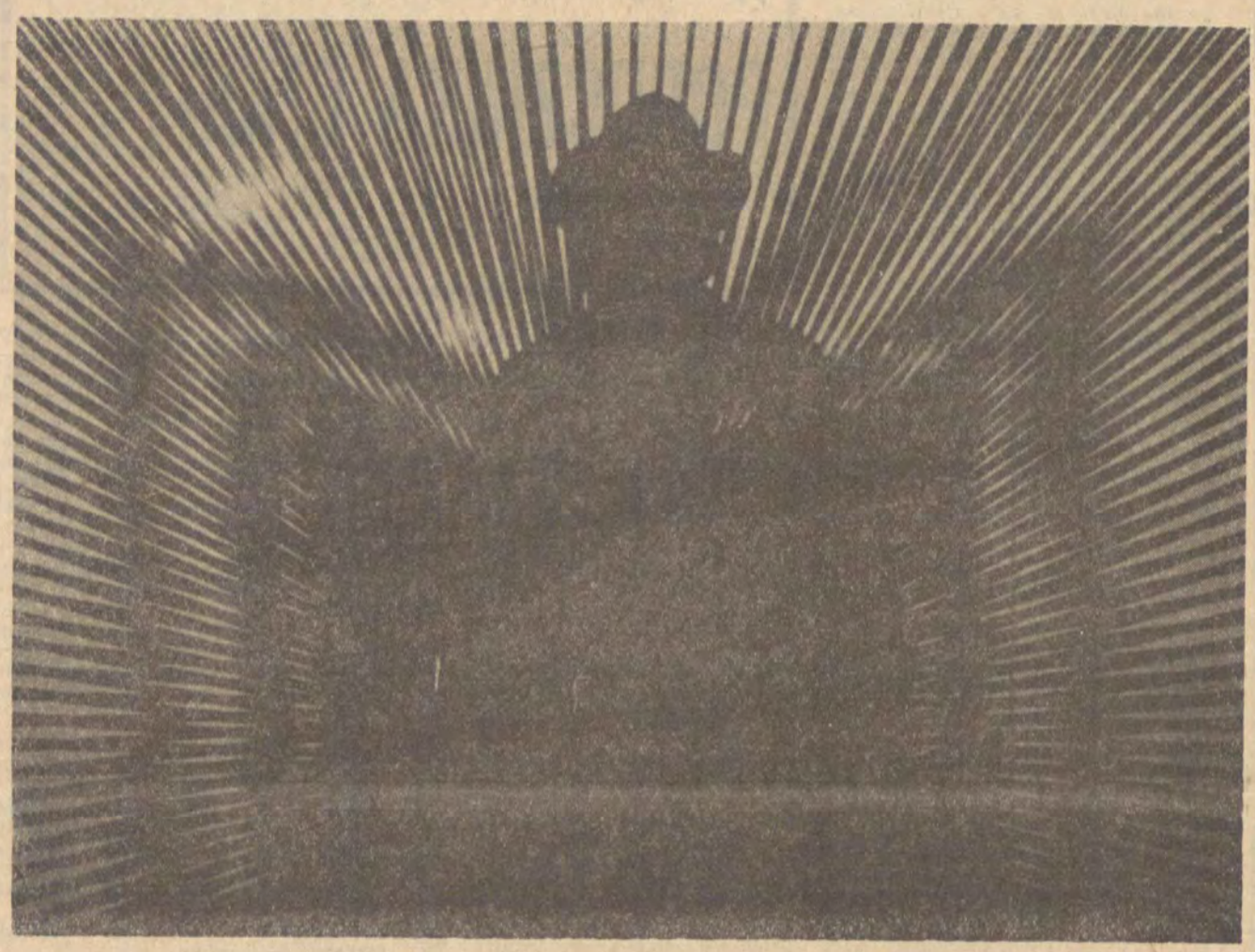

Fot. J. Mendychowski

Po raz pierwszy ostatnie pytanie padło — rzucone półżartem — dwudziestego pierwszego maja 2061 roku. Były to czasy, kiedy ludzkość zawładnęła już światłem. Pytanie owo narodziło się jako rezultat półdolarowego zakładu, zawartego nad butelką whisky. A stało się to tak...

Dwaj członkowie wiernej świty Multivaca — Alexander Adell i Bertram Lupov — wiedzieli najlepiej, jak tylko człowiek mógł wiedzieć, co kryje się za zimną, błyszczącą płytą gigantycznego komputera. A w każdym razie mieli jakieś mgliste pojęcie o ogólnym schemacie obwodów i przekaźników, które narosły w maszynie od owych zamierzchłych czasów, kiedy to pojedynczy człowiek mógł mieć zupełnie jasne pojęcie o całości...

Multivac był maszyną samoadaptacyjną i samokorygującą. Musiał być taki — bowiem żaden człowiek nie byłby w stanie nic w nim naprawić lub zmienić równie szybko i równie trafnie jak on sam. Tak więc Adell i Lupov służyli molochowi jedynie powierzchownie i z pozoru — choć najlepiej, jak tylko było na to stać człowieka. Karmili go danymi, adaptowali pytania, jakie mu stawiano i tłumaczyli odpowiedzi, jakich udzielał. Bez wątpienia więc zasługiwali oni — podobnie jak inni ze świty Multivaca — na swój udział w glorii komputera.

Na przestrzeni dziesiątków lat Multivac pomagał w projektowaniu statków kosmicznych i obliczaniu trajektorii lotów, które umożliwiły ludziom osiągnięcie Księżyca, Marsa i Wenus. Później jednak ziemskie zapasy okazały się zbyt ubogie, by sprostać wymaganiom takich wypraw. Zbyt dużo trzeba było energii do tak długich lotów. Ziemianie eksploatowali wprawdzie swoje złoża węgla i uranu ze stale wzrastającą wydajnością, ale ani tego, ani tego nie było zbyt wiele.

Powoli jednak Multivac nauczył się dostatecznie dużo, by móc odpowiadać na coraz bardziej wnikliwe i sięgające istoty rzeczy pytania. I oto czternastego maja 2061 roku to, co było dotąd teorią, stało się faktem...

Ziemianie zawładnęli energią Słońca. Mogła ona być teraz magazynowana, przetwarzana i utylizowana wprost na skalę całej planety. Ziemia skończyła raz na zawsze ze spalaniem węgla, rozszczepianiem uranu i podłączyła się do małej stacji kosmicznej o średnicy jednej mili, obiegającej Ziemię w połowie odległości od Księżyca. Cały glob pracował teraz dzięki niewidzialnym promieniom energii solarnej.

Nawet tydzień okazał się okresem czasu zbyt krótkim, aby przyćmić glorię tego przedsięwzięcia. Toteż Adel i Lupov postanowili ostatecznie uciec od swych oficjalnych obowiązków i spotkać się w ciszy i spokoju tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy ich szukać: w bezludnych podziemnych halach, kryjących płyty potężnego, wpuszczonego w ziemię cielska Multivaca. Opuszczony przez wszystkich i bezczynny teraz komputer sortował dane z leniwym, pełnym zadowolenia klekotem. On również zasłużył sobie na odpoczynek i obaj ludzie zdawali sobie z tego sprawę. Zresztą w gruncie rzeczy nie było żadnego powodu, by go niepokoić.

Mieli ze sobą flaszkę whisky i ich jedynym pragnieniem w owej chwili był odpoczynek w swoim własnym towarzystwie.

— A jednak to zadziwiające, jak się nad tym lepiej zastanowić — odezwał się Adell. Jego szeroką twarz przecięły teraz bruzdy znużenia. Wolno mieszał swojego drinka szklanym pręcikiem, przyglądając się leniwie wirującym sześciankom lodu. — Cała energia, jakiej kiedykolwiek by nam było potrzeba — za darmo! Energia wystarczająca do stopienia całej Ziemi w jedną wielką kroplę zanieczyszczonego ciekłego żelaza. I nadal by nam tej energii nie zabrakło. Wszelka energia, jakiej kiedykolwiek Ziemianom będzie potrzeba — na zawsze... Na zawsze...

Lupov odchylił głowę i spojrzał przekornie na Adella. Robił tak zawsze, kiedy miał ochotę sprzeciwić się. I teraz również miał zamiar się sprzeciwić — po części zresztą dlatego, że to on musiał wcześniej przynieść kostki lodu i szklanki.

— Nie zawsze — powiedział.

— O Chryste, no to prawie na zawsze! Dopóki nie skończy się Słońce...

— To nie jest z a w s z e!

— No więc dobra, nie na zawsze. Biliony, biliony lat. Może dwadzieścia bilionów? Satysfakcjonuje cię to?

Lupov przesunął palcami po przerzedzonych włosach — był to jakby gest uspokojenia i utwierdzania się w przekonaniu, że nadal coś tu jest nie tak. Potem dystyngowanie małymi łykami popijając swojego drinka powiedział:

— Dwadzieścia bilionów lat to nie jest z a w s z e.

— W porządku, ale dla naszych czasów wystarczy...

— Tak samo uważano w przypadku węgla czy uranu...

— No dobra, ale teraz możemy przecież podłączyć statek do stacji energosolarnej, po czym ten statek może gnać do Plutona i z powrotem milion razy bez kłopotania się kiedykolwiek o paliwo. Nie mógłbyś czegoś takiego dokonać za pomocą węgla czy uranu. Zapytaj Multivaca, jeśli mi nie wierzysz.

— Nie muszę pytać Multivaca — sam dobrze o tym wiem.

— Więc przestań podważać znaczenie tego, co dla nas zrobił — powiedział Adell czerwieniejąc. — Bo dobrze zrobił!

A kto tu mówi, że nie? Powiedziałem tylko, że Słońce nie będzie pracować z a w s z e! To wszystko, co powiedziałem. Jesteśmy zabezpieczeni na dwadzieścia bilionów lat. A co potem? — Lupov wyciągnął w kierunku kolegi lekko drżący palec. — Tylko nie mów mi, że podłączymy się do następnej gwiazdy! — dodał.

Na chwilę zapadła cisza. Adell od czasu do czasu tylko przykładał do ust szklankę. Oczy Lupowa powoli się zamknęły. Odpoczywali.

Nagle Lupov otworzył oczy i wykrzyknął:

— Wydaje ci się, że jak Słońce się skończy, to podłączymy się do następnej gwiazdy, no nie?

— Nie, wcale nie.

— Jasne, że tak ci się wydaje. Jesteś słaby w logice — w tym problem. Jesteś jak ten facet z dykteryjki o deszczu. Kiedy złapał go przelotny deszcz, popędził ku kępie drzew i wpakował się pod jedno z nich. Nie martwił się o nic, bo wykombinował sobie, że jak jedno drzewo przemoknie, to on pójdzie pod następne...

— W porządku, rozumiem — odparł Adell. — Nie drzyj się. Rozumiem. Kiedy Słońce się skończy, inne gwiazdy też nam podziękują.

— Niech mnie cholera, jeżeli nie podziękują — wymamrotał Lupov. — Wszystko wzięło swój początek od pierwszej eksplozji kosmicznej — czymkolwiek ona była — i wszystko się skończy z chwilą, kiedy pogasną ostatnie gwiazdy. Jedne szybciej, inne wolniej — ale, do cholery, pogasną! Olbrzymy wytrzymają 100 milionów lat. Słońce — 20 bilionów... Karły wytrzymają może 100 bilionów — w najlepszym razie... Ale poczekaj trylion lat i wszystko będzie czarne. Entropia musi wzrastać do maksimum — koniec, kropka!

— Ja wiem wszystko o entropii — odezwał się Adell, podnosząc się w całej swej okazałości.

— Gówno wiesz!

— Wiem tyle samo co ty.

— Więc wiesz również, że któregoś dnia wszystko się skończy!

— Zgoda, kto tu mówi, że nie?

— Ty, biedny mądralo! Ty! To ty twierdzisz, że mamy już całą energię, jakiej kiedykolwiek byłoby nam potrzeba! To ty powiedziałeś! „na zawsze"!

Teraz Adell postanowił się sprzeciwić.

— A może któregoś dnia będziemy w stanie odtworzyć to wszystko? Odbudować? — powiedział.

— Nigdy.

— Zapytaj Multivaca.

— To ty go zapytaj. No, spróbuj! Stawiam pięć dolarów, że powie, iż to jest niemożliwe do zrobienia.

Adell był wystarczająco pijany, żeby spróbować — i zarazem dostatecznie trzeźwy, by móc poprawnie złożyć sekwencje koniecznych symboli i rozkazów w pytanie, które wyrażone słowami brzmiałoby mniej więcej tak: czy ludzkość będzie kiedykolwiek zdolna do odtworzenia Słońca — bez użycia energii — w stadium jego wczesnej młodości? I to nawet po tym, gdy umrze ono ze starości?

Pytanie to można było sformułować prościej, np. tak: czy możliwe jest, aby całkowita entropia Wszechświata zaczęła maleć?

Multivac pozostał martwy i milczący. Urwały się leniwe błyski światełek, ustały odległe odgłosy klekotu przekaźników.

I nagle, kiedy obaj przestraszeni technicy poczuli, że nie są już w stanie dłużej wstrzymywać oddechu, w ciszę wdarł się raptownie grzechot dalekopisu, podłączonego do najbliższej im jednostki Multivaca. Na taśmie widniało tylko sześć słów: BRAK DANYCH wystarczających DO UDZIELENIA ODPOWIEDZI.

— Nie było zakładu — szepnął Lupov, po czym obaj w pośpiechu się wynieśli.

Następnego ranka, trapieni bólem głowy i pragnieniem, zapomnieli o incydencie.

Jerrodd, Jerrodine, Jerrodette I i Jerrodette II obserwowali gwiaździsty obraz nieba na wideoplanie. W miarę podróży przez hiperprzestrzeń obraz ten zmieniał się wraz z upływem ponadczasu.

Raptem jednostajny pył gwiazd ustąpił miejsca pojedynczej, jasnomarmurowej tarczy pośrodku ekranu.

— To X-23 — powiedział stanowczym tonem Jerrodd. Ręce trzymał założone do tyłu: szczupłe dłonie były mocno zaciśnięte, aż pobielały nadgarstki.

Obie dziewczynki — Jerrodette I i II — były niezwykle podniecone pierwszą w ich życiu podróżą w hiperprzestrzeni. Półprzytomne wprost z nadmiaru wrażeń, z tłumionym chichotem biegały jak szalone, krzycząc:

— Jesteśmy na X-23! Jesteśmy na X-23! Jes...

— Cicho, dzieci! — powiedziała Jerrodine. — Jesteś pewien, Jerrodd?

— Dlaczego miałbym nie być pewien? — odparł Jerrodd, wpatrując się w metalowe wybrzuszenie na suficie. Biegło wzdłuż całego pomieszczenia, znikając w ścianie na drugim końcu. Było tak długie, jak statek.

Jerrodd nie wiedział dokładnie, co to za urządzenie ten gruby wał. Wiedział tylko, że nazywano je MICROVACem i że można mu było zadawać pytania, kiedy się zechce. Wiedział również, że jeśli nic się nie robi, to MICROVAC nadal wypełnia swoje zadanie doprowadzenia statku do miejsca przeznaczenia. Słyszał jeszcze o czerpaniu przezeń energii z rozlicznych Subgalaktycznych Stacji Energetycznych oraz o rozwiązywaniu równań do uskoków hiperprzestrzennych.

Jerroddowi i jego rodzinie pozostawało tylko czekać i zabijać czas w komfortowych kwaterach statku.

Ktoś kiedyś powiedział Jerroddowi, że litery „AC" na końcu słowa „MULTIVAC" są skrótem dwóch staroangielskich słów „analogue computer". Jerrodd już jednak prawie o tym zapomniał...

Oczy Jerrodine, utkwione w wideoplanie, stały się wilgotne.

— Dziwnie się czuję opuszczając Ziemię... Nic na to nie poradzę.

— Dlaczego, na litość boską? — spytał Jerrodd. — Nic tam po nas. Na X-23 będziemy mieli wszystko. Nie będziesz samotna, nie będziesz przecież pionierem. Na tej planecie żyje już ponad milion ludzi. Mój Boże! I pomyśleć, że nasze prawnuki będą musiały szukać nowych światów, bo X-23 będzie już przeludnione...

Potem, po chwili zastanowienia, dodał: — Wiesz, mamy szczęście, iż komputer potrafił do tego stopnia zaplanować drogę, jaką podąży rodzaj ludzki...

— Wiem, wiem... — powiedziała z przygnębieniem Jerrodine. Jerrodette I natychmiast dorzuciła: — Nasz MICROVAC to najlepszy MICROVAC na świecie.

— Ja też tak myślę — przytaknął Jerrodd, mierzwiąc włosy dziewczynki.

Tak — to było miłe uczucie — mieć MIROVACa na własność. Jerrodd był szczęśliwy, że był członkiem tej właśnie generacji, a nie żadnej innej. Za czasów młodości jego ojca komputery były gigantycznymi machinami, rozciągającymi się na setki kilometrów kwadratowych powierzchni. W owych czasach na jedną planetę przypadała tylko jedna taka maszyna. Nazywano ją Planetarnym AC. Na przestrzeni tysiąca lat ich rozmiary stale rosły. I naraz — wszystkie równocześnie — zostały udoskonalone. Miejsce tranzystorów zajęły zawory molekularne. W ten sposób nawet największy Planetarny AC można było teraz zmieścić w objętości nie większej niż pół statku kosmicznego.

Jerrodd poczuł, jak serce mu rośnie z dumy. Zawsze to odczuwał, kiedy uświadamiał sobie, że jego własny osobisty komputer jest nieporównanie bardziej złożony niż starożytny, prymitywny MULTIVAC, który ongiś — jako pierwszy — poskromił Słońce. Że jest nawet bardziej skomplikowany niż największy ze wszystkich, Ziemski Planetarny AC — ten, który jako pierwszy uporał się z problemem podróży hiperprzestrzennych i umożliwił ludziom wyprawy do gwiazd.

— Tyle gwiazd, tyle planet — szepnęła Jerrodine, pogrążona w swoich myślach. — Ciekawe, czy inne rodziny już zawsze będą wyruszać, tak jak my, ku nowym planetom...

— Nie, nie zawsze — powiedział z uśmiechem Jerrodd. — Któregoś dnia to wszystko się skończy. Nie wcześniej jednak niż za biliony lat. Wiele bilionów. Rozumiesz? Wtedy, gdy skończą się gwiazdy. Entropia musi wzrastać...

— Co to jest entropia, papo? — pisnęła Jerrodette II.

— Entropia, skarbie, to takie słowo, które oznacza liczbę końców, liczbę śmierci we wszechświecie. Wszystko się wyczerpuje, widzisz, tak jak twój mały robot „walkie-talkie". Pamiętasz?

— I nie można po prostu założyć nowej baterii, tak jak do mojego robota?

— Gwiazdy już same z siebie są źródłami energii, kochanie. Kiedy one się skończą, nie będzie już żadnych innych źródeł.

Jerrodette I jęknęła: — Och nie pozwól im tatusiu! Nie pozwól, żeby gwiazdy się skończyły?

— Widzisz, do czego doprowadziłeś! — szepnęła Jerrodine zirytowana.

— Skąd mogłem wiedzieć, że tak się przestraszy? — odszepnął jej Jerrodd.

— Tato, niech tata zapyta MICROVACa! — lamentowała Jerrodette I. — Niech tata zapyta, jak to zrobić, żeby gwiazdy z powrotem świeciły?!

— No zapytajże! — powiedziała Jerrodine. — Będzie przynajmniej spokój. (Jerrodette II zaczynała już płakać).

Jerrodd wzruszył ramionami.

— No, już, dobrze, dzieci. Zapytam MICROVACa. Nie martwcie się, zaraz nam powie.

Rzucił MICROVACowi pytanie, pośpiesznie dodając: „Odpowiedź drukuj".

Potem rozwinął cienką, cellurową wstęgę wydruku i odezwał się do dziewczynek pełnym otuchy głosem:

— No widzicie? MICROVAC powiedział, że kiedy nadejdzie czas, będzie na wszystko uważać. Więc już się nie martwcie.

— A teraz, dziewczynki, czas spać — dorzuciła Jerrodine. — Niebawem będziemy w naszym nowym domu.

Zanim zniszczył cellurową taśmę, Jerrodd raz jeszcze przeczytał wydrukowane na niej słowa:

BRAK DOSTATECZNYCH DANYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI.

Wzruszył ramionami i spojrzał na wideoplan. X-23 była tuż, tuż...

c.d.n.

Przełożył:
KRZYSZTOF MALINOWSKI

HENRYK DUDEK

NAD MORZEM bez ZMIAN

Ciąg dalszy ze str. 1

steczku powiatowym w Kieleckiem. No i miała wyjść za mąż za tego chłopaka, który studiował weterynarię w Lublinie. I kiedy żartowałem, opowiadając jej jaki to piękny widok jest z mojego okna nad „Morskim Okiem" nie miałem zamiaru zaprzątać.

Stała na środku pokoju i uśmiechała się do mnie, leżącego na łóżku w pozie niedbałej. Ponieważ wyczułem w niej więcej delikatności niż w tych kelnerkach, piosenkarkach jednego sezonu i kuracjuszkach z obrączkami w torebkach, powoli przeniosłem nogi na podłogę, skrzypiąca od piasku morskiego i wskazałem miejsce na jedynym krześle, które miałem w swojej klatce. Usiadła, ale jakby o czymś sobie przypominając wstała i podeszła do okna. Pokiwała z uznaniem głową.

— Jednak nie kłamałeś — powiedziała mi na „ty" chociaż jeszcze wczoraj byliśmy na „pani — pan".

Ponieważ nadal miałem minę zakłopotaną — dodała:

— No, mówię o widoku za oknem.

Patrzyłem na jej zgrabne nogi, młode i niespokojne, a także na zmysłowy nos i wargi, które zdradzały jej kapryśną naturę.

— A gdzie chłopak? — spytałem mechanicznie, gdy czekała na chwilę aż w końcu wydobędę z siebie jakiś dźwięk. Na to pytanie odpowiedziała bez drgnienia powieki:

— Uczy się do jakiegoś egzaminu we wrześniu.

— Aha — uniosłem brwi i spojrzałem na okno. Właśnie przestało padać.

— A jak ty właściwie trafiłaś do mnie. Przecież nie przeszłaś przez kuchnię, ot, tak sobie. Kucharki nic nie mówiły?

— No to co? — powiedziała to tak niewinnie, że nagle poczułem do niej sympatię. Ponieważ w brzuchu zaburczało mi nieprzyzwoicie, zaproponowałem, byśmy poszli na placki ziemniaczane. Zanim wyszliśmy zdążyła zauważyć rząd kresek na moim łóżku. Nie pytała, ale widziałem jej wzrok.

— To ilość dni — objaśniłem, wkładając kurtkę i biorąc parasol. Od razu spostrzegłem, że nie uwierzyła. Nie wierzyła, że dla mnie każda kreska to siedem czerwonych banknotów.

Na ulicy spytała:

— Czy mógłbyś załatwić mi dwa bilety na dzisiaj? Przy sobocie bardzo trudno dostać.

Kiwnąłem głową. Kiedy przechodziliśmy obok kiosku z warzywami i kiszonymi ogórkami spotkałem Roberta, z którym graliśmy w „Morskim Oku" dwa lata temu. W tym roku grał w „Meduzie". Zrobił oko i podszedł do nas. Jest taki zwyczaj, że nie witamy się z dziewczynami kumpli, które zwykle zna się przez kilkanaście godzin. I kiedy zauważyłem, że chce podać mi rękę, uprzedziłem go:

— To jest... Helena, Trojańska — dodałem, chociaż nie znałem jej imienia prawdziwego. Podała mu rękę takim gestem wielkopańskim, że Robert zbaraniał i cmoknął ją, zginając się w niskim ukłonie. Przez chwilę miał głupią minę:

— Jak leci w „Morskim"? — wybąkał w końcu, patrząc co trochę na mnie i na nią.

— Normalka. Codziennie komplet. A u was?

— Wczoraj odjechał trzeci turnus i stary zamknął budę. Nie ma u was jakiegoś miejsca?

— Pianista jest. Ale zobacz w „Orlonie". U górników. Tydzień temu otworzyli tam lokal.

— Mają swoich ze Śląska.

Zaczęło padać i otworzyłem parasol. Wiatr od plaży wypinał materiał parasola i trzeba było kończyć dyskurs.

— Jakoś ci się ułoży — klepnąłem go w ramię i przyciskając dziewczynę do siebie, by nie zmokła podeszliśmy do sklepu z plackami. Była kolejka. Osiem osób. Poprosiłem, by zajęła stolik. Wzięła parasol i usiadła przy filarze. Zdjęła kolorową chustkę i poprawiła kasztanowate włosy. Patrzyłem na nią. Ale nie tak jak na inne. Nie miałem jeszcze takiej dziewczyny. Pragnąłem wyobrazić sobie ją za kilka lat. Nauczycielkę z prowincji, wygrzewającą się w czasie przerw przy żebrach kaloryferów. Ona widocznie czuła mój wzrok i podniosła swoje podczernione powieki i spytała:

— Jakie placki wolisz? Z solą, czy z cukrem? Bo dla mnie z solą.

Kiwnąłem głową. Ale zdałem sobie sprawę, że to przecież nie jakieś głupie dziewczę, które wychodząc na randkę pożycza od koleżanek z pokoju koronkowe majtki. I szybko powiedziałem:

— Oczywiście, księżniczko.

Fot. W. Małek

Wypaliłem to całkowicie mechanicznie, a ona wzięła to za dobrą monetę. Zarumieniła się po panieńsku. Kilku wczasowiczów spojrzało na nią łakomie, odrywając tłuste gęby od talerzy z plackami.

W południe po podwójnej porcji placków wyszliśmy na deptak. Wiatr dął jeszcze silniej. I wtedy zauważyłem, że pod drzewem obok budki ratowników stoją jej rodzice. Widzieli nas od dłuższego momentu. Nie miałem czasu zrobić uniku, bo wszystkie rozmowy ze starymi młodych, niezamężnych dziewcząt zaczynają się i kończą na tym samym. Na głupich uśmiechach, taksowaniach i pytaniach o cel w życiu, zawód, studia i zarobek.

Dziewczyna schwyciła mnie za ramię jakby przeczuwając o czym mogę myśleć i podeszliśmy do nich. Skłoniłem się grzecznie i włożyłem na twarz tą starą, zakłamaną maskę dobrze ułożonego młodego człowieka, który otrzymał dobre wychowanie i nie jest zdolny do czynów nieodpowiedzialnych.

Po grzecznościowym wstępie jej matka, całkiem niczego jeszcze czarnulka spytała z uśmiechem:

— Panie Henryku, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chciałabym prosić pana, by pan zabrał naszą córkę dzisiaj na dancing. Mąż trochę gorzej się czuje — tutaj spojrzała na swego małżonka, który mierzył mnie wprawnym okiem od początku — i nie możemy jej towarzyszyć. A panu przecież łatwiej dostać bilety niż nam, zwykłym śmiertelnikom.

— Ile biletów? Dwa? — spytałem od razu.

Dziewczyna zarumieniła się trochę i spytała matki:

— Mamo, pozwól mi pójść samej. Tylko jeden, jedyny raz. Mamusiu kochana... — dodała błagalnie.

— Ale co powiesz Waldkowi? Przecież nie powiesz, że idziesz na tańce.

— Wymyśl już coś. Przecież potrafisz... — matka na te słowa zmieszała się i szybko, ale uważnie spojrzała na męża, który nie zwrócił jednak na słowa córki uwagi, śledząc właśnie mój ubiór. Przez moment wydawało mi się, że patrzy na zamek błyskawiczny rozporka, jakby badając, czy bardzo zużyty.

— No, dobrze — odparła matka i swoje czarne oczy skierowała teraz na mnie. — Nie wiem jednak, czy panu nie będzie przeszkadzać? Przecież pan jest muzykiem.

— Ależ proszę się nie martwić. Mamy swój osobny stolik. A po dancingu córkę odprowadzę.

Wtedy odezwał się ojciec:

— Kiedy kończy się dancing dzisiaj?

— O pierwszej.

— To za długo — odparł krótko, ale żona od razu dodała:

— Raz możesz jej pozwolić. Cały rok się uczy, to przynajmniej daj jej spokój w wakacje.

Wypiliśmy w kawiarni przy szosie do Koszalina kawę i zjedliśmy po dwa ciastka z kremem. Matka mówiła prawie cały czas:

— Nasza córka od września chce iść do pracy, a także wyjść za mąż. Nie zdała egzaminów wstępnych na uniwersytet na filologię.

Kiwałem mądrze głową i połaszowałem ciastka, głowiąc się, jak tu teraz odejść od tego towarzystwa, ponieważ o drugiej powinienem być na próbie. Kawiarnia zapełniała się kuracjuszami i coraz to ktoś podchodził i zaglądał przez ramię, czy wszystko wypite i zjedzone, licząc na wolny stolik. Matka w końcu wyjęła portmonetkę i położyła banknot tysiączłotowy, na co ja zareagowałem siegnięciem do marynarki, ale ona zaraz powiedziała:

— Proszę dać spokój. Jest pan naszym gościem.

Po południu, po próbie odfajkowaliśmy w lokalu fajf dla młodzieży w kaloszach i gumowych butach z najprzeróżniejszymi napisami. Pili tylko nektary, herbatę, a ktoś zamówił butelkę „Gellali". Dlatego kelnerki siedziały wściekłe przy kuchni i pogardliwie mierzyły roześmiane towarzystwo. Graliśmy oszczędnie. Trzy kawałki i przerwa piętnaście minut. W przerwie szef spytał, czy gitara solowa naprawiona. Jacek pokazał gitarę i dwie struny, które dostał za pół litra od gitarzysty z „Oriona". Ponieważ przypomniało mi się o wyjeździe w góry, podszedłem do szefa i zacząłem od razu:

— Panie Stasiu, za dwa dni chciałbym wyjechać. Coś mnie łamie w kościach od tego morza. A w górach nie będzie przynajmniej tyle wody.

Szef gryzł zapałkę i patrzył na kelnerkę, która przyrządzała coctail pomarańczowy. Ponieważ znałem szefa dość dobrze, po minie wysondowałem, że wszystko mu jedno, co mi się chce, a co nie. I kiedy otworzył swoją wygoloną nieprawdopodobnie gębę, nie myślałem, że po raz pierwszy zaskoczy mnie okrutnie:

— Słuchaj no, ja bez saksu nie pociągnę tej budy. A innego nie znajdę...! Ile chcesz?

Zrobiłem głupią minę, a on zaraz dodał:

— Daję ci setkę więcej, ale cicho sza. To między nami.

I tak zostałem zaangażowany na następny turnus za osiem setek. Po fajfie przyrzekłem sobie uczcić tę podwyżkę. Od razu obliczyłem, że jeżeli dalej będę jadł na obiad placki, a na kolację trzy kanapki z kiełbasą to pod koniec wakacji zostanie mi w kieszeni około trzynastu kawałków. Będzie można założyć książeczkę mieszkaniową.

Po ósmej wieczorem przyszła dziewczyna. W fioletowej sukni z cekinami z dość długim rozcięciem na boku. Była czarująca. Nie wdawałem się w rozważania, dlaczego nie ma tego chłopaka, który tak pożerał ją rozkochanymi oczami. Posadziłem ją przy stoliku zespołu i zaczęliśmy grać. Najpierw coś z repertuaru Bacharacha. Przywitał wszystkich pan Stasio:

— Dobry wieczór państwu. Zespół Rythm and Blues powitał państwa melodią „Nie pukaj do moich drzwi". Życzę przyjemnego wieczoru i przypomnam — jutro dancing rozpocznie się o godzinę wcześniej. Zapraszam wszystkich na parkiet.

Potem była przerwa i zamówiłem wino czerwone, by opić ten angaż za osiem setek. Dziewczyna coś mówiła o matce, że bardzo się jej spodobałem, ale mało słuchałem, ponieważ takie gadki zawsze kończą się jak nie ślubem z córeczką to wydeptywaniem ścieżek wieczorami z całą rodzinką. Ponieważ na salę przyszły jakieś grube ryby z ośrodka MON, graliśmy prawie bez przerwy. A dziewczyna tańczyła z jakimś starszym jegomościem, który uśmiechał się do niej i do mnie, jakby rozumiejąc swoją funkcję na dancingu i jednocześnie manifestując swoją aprobatę. Po jedenastej w nocy pianista zarządził dłuższą przerwę na kolację, a i kelnerki co trochę przychodziły z prośbą o jakąś dłuższą przerwę na zebranie naczyń i butelek i inkasowanie należności, bo później jeden z drugim może się ulotnić. Dziewczyna o północy nie tańczyła już z tamtym facetem, siedziała tylko i patrzyła na salę. Co trochę spoglądała na mnie i uśmiechała się. Była zmęczona i senna. Dopiero teraz widziałem, jaka jest młoda i niedoświadczona. Patrzenie na nią sprawiało mi przyjemność i nie czułem nawet piekących warg od ustnika, który powinienem przetrzeć spirytusem, albo wymienić.

Podczas jednej z przerw podeszła do nas Marta, kelnerka i przyniosła kawę. Obrzuciła dziewczynę wprawnym spojrzeniem i spytała cicho, niby to ścierając rozlany płyn ze stolika:

— Dzisiaj jestem wolna. Ale widzę, że nic z tego...

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na dziewczynę. Patrzyła na mnie uważnie. Była spostrzegawcza. Żeby rozwiać złudzenia obu powiedziałem:

— Dzisiaj oglądam księżyc z księżniczką.

Marta pokręciła ze zdziwienia głową:

— Coś mi się zdaje, że masz co innego na myśli.

I wtedy dziewczyna odezwała się śmiało:

— Proszę się nie martwić. O pierwszej muszę być w ośrodku. Z rodzicami — dodała.

Marta kwaśno uśmiechnęła się do niej i pogroziła mi palcem, odchodząc do kuchni. Kiedy znów zagraliśmy kupiła od Marty paczkę „Klubowych" i paliła jeden po drugim. Wiedziałem, że chciałaby już spać z rodzicami, ale nie mogłem wyjść. Po godzinie pierwszej, gdy graliśmy koncert życzeń mogłem w końcu powiedzieć jej, że zaraz ją odprowadzę do ośrodka. Żałowałem, że przeze mnie tak się męczy. W końcu skończyliśmy grać. Zabrałem saksofon z futerałem i wtedy powiedziała, że jej niedobrze. Że ma nudności. Zaprowadziłem ją do siebie i podałem jakieś sole, po których mówiła, że jej lepiej. Gdy tak leżała na łóżku, a ja stałem przy oknie usłyszałem za sobą skrzypienie sprężyn i zgasło światło. Myślałem właśnie o jej starych, którzy będą mieli do mnie pretensje o tych kilka lampek wina, które z nią wypiłem i po których jej tak niedobrze. Podszedłem do kontaktu i zamierzałem zapalić znowu światło, ale ona powiedziała:

— Proszę cię... Jeszcze chwilkę. Mama nie będzie zła. Daję słowo.

Zobaczyłem wtedy poukładane jej rzeczy na krześle, poczułem zapach perfum. Musiała widocznie wyjąć je z torebki. Usiadłem na łóżku i zachciało mi się śmiać. Ale nie dałem jej tego poznać.

— Pocałuj mnie — szepnęła i złapała mnie za rękę.

Pochyliłem się i pocałowałem ją lekko, a kiedy chciałem wstać objęła mnie mocno i zaczęła całować jak szalona po oczach, włosach, szeptając to swoje „mój kochany, mój kochany". Dopiero po chwili doszedłem do wniosku, że nie działa na mnie. Nawet się przestraszyłem, ale byłem tak zmęczony graniem, że nie powinienem się dziwić. Patrzyłem na nią, a ona zaczęła rozpinać mi koszulę, a potem szarpać za pasek od spodni. I wtedy rozległo się wołanie, które spotęgowało tylko komiczny nastrój:

— Monika, Monika, Monika.

Poznałem głos chłopaka. Powiedziałem:

— To ty jesteś Monika? To dobrze, bo ja myślałem, że Helena Trojańska.

Zerwała się z łóżka zła jak osa i prawie z płaczem wyrzuciła z siebie:

— Dlaczego jesteś taki? Dlaczego? Przecież podobam się tobie?

Nazajutrz rano, gdy otworzyłem dopiero oczy i językiem oblizywałem spieczone wargi, ktoś zapukał.

— Proszę?

Weszła matka Moniki. Nawet nie zdążyłem zauważyć, kiedy się rozebrała i weszła pod koc...

Na pierwszej stronie „Głosu Koszalińskiego" przeczytałem tylko tytuł dłuższego artykułu: „Nad morzem bez zmian..."

Z NOTATNIKA PROKURATORA

BESTIE

Wacław G. wracał po pracy do domu. Był zmęczony i szedł powoli. Doszedł właśnie ulica Piotrkowską do Moniuszki i skręcił w lewo, a następnie przeszedł na drugą stronę. Zauważył, że grupa młodych mężczyzn i kobiet, którzy stali naprzeciw „Łodzianki" ruszyła za nim. Nie zwracał jednak na nich większej uwagi, zajęty własnymi, niewesołymi myślami.

Wtem ktoś brutalnie chwycił go z tyłu za kołnierz kurtki i zepchnął na jezdnię. Zatoczył się i byłby upadł, jednak w ostatniej chwili podparł się ręką. Gdy się wyprostował ONI już stali obok niego. Półkolem. Zawzięte, złe, skurczone gniewem twarze. U niektórych ironiczne uśmiechy. Były wśród nich kobiety, które patrzały na niego wykrzywiając pogardliwie usta. Poczuł, że jest bezsilny, aczkolwiek tuż obok tętniła życiem główna arteria wielkiego miasta. Ale nie uciął się przed tymi spojrzeniami, nie próbował uciec przed liczebną przewagą. Łódzki robotnik w swoim mieście, obok bramy swego domu podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy najbliższego napastnika.

Ufryzowany olbrzym błyskawicznie wyciągnął prawą rękę z kieszeni. Matowo błysnął jakiś przedmiot we wzniesionej dłoni. Potworne uderzenie. W samą głowę. Wacław G. runął na jezdnię.

Inż. Henryk K. zeznał:

„Około godziny 22.10 czekałem na żonę na ulicy Piotrkowskiej, obok kawiarni „Łodzianka". W niedalekiej odległości stała grupa młodych mężczyzn i kobiet w wieku 18—20 lat. Kobiety sprawiały wrażenie prostytutek, a mężczyźni chuliganów. Można to było wywnioskować ze sposobu zachowania się tych ludzi, ich obrzydliwego wystawiania się, brudnych, wstrętnych słów, i ordynarnych zaczepek osób wychodzących z „Łodzianki". W pewnej chwili od grupy tej odłączyło się około ośmiu mężczyzn i kobiet i poszli wolnym krokiem w stronę restauracji „Halka" na Moniuszki. Szli chodnikiem po prawej stronie licząc od Piotrkowskiej.

Jednocześnie chodnikiem tym szedł przed nimi jakiś mężczyzna, ubrany w kurtkę i narciarską czapkę. Kiedy grupa zbliżyła się do niego, zszedł na lewą stronę chodnika. W chwili, kiedy grupa zrównała się z nim, jeden z osobników, ubrany w beżowy płaszcz pchnął niespodziewanie tego człowieka. Ten ostatni zatoczył się na jezdnię i omal nie upadł. Grupa chuliganów przystanęła i utworzyła półkole wokół tego obywatela w kurtce. Zaznaczam, że szedł on cały czas zupełnie prosto i spokojnie, nikogo nie zaczepiał i absolutnie nie robił wrażenia pijanego, natomiast chuligani musieli być trochę podpici. Gdy utworzyli półkole, zaczepiony człowiek zbliżył się do nich i spytał, dlaczego go zaczepiają nie skończył nawet tego zdania, gdy jeden z ostatnich stojących w półkolu, atletycznie zbudowany, z długimi włosami, zbliżył się od lewego boku mężczyzny w kurtce, coś wyjął z kieszeni i ruchem zamachowym, z całej siły niespodziewanie uderzył go w twarz. Cios był tak silny, że ten obywatel błyskawicznie upadł do tyłu, na asfaltową nawierzchnię jezdni. Pozostał tak bez ruchu, z rozkrzyżowanymi rękami, nie wydając żadnego głosu. Na ten widok grupa chuliganów, najpierw powoli, a potem coraz szybciej zaczęła się oddalać w stronę ul. Sienkiewicza. Przechodząc obok ciała jeden z nich kopnął leżącego nogą. Widząc to zdarzenie, które trwało zapewne około minuty, podbiegłem do leżącego, ale nie dawał on znaków życia, więc przebiegłem na drugą stronę ulicy i zacząłem krzyczeć do napastników, aby się zatrzymali, gdyż zabili człowieka. Na moje krzyki dwóch z nich momentalnie wpadło w ulicę Hotelową, trzech lub czterech w bramę „Halki", a dwóch bardzo szybkim krokiem poszło przed siebie. To byli właśnie ci, z których jeden pchnął, a drugi uderzył niewinnego człowieka. Pobiegłem za nimi, co widząc puścili się biegiem i wpadli w ulicę Hotelową. Było dużo ludzi, ale nikt mi nie pomógł..."

Znalazł się tylko jeden odważny, który pobiegł za oprawcami. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Zgromadzeni wokół ciała ludzie ograniczyli się do paru okrzyków: łapać! łapać! Na tym wyczerpały się ich możliwości. Sprawcy się rozproszyli. Ścigający wrócił z pustymi rękoma. Zajął się najpierw Wacławem G., a potem długi czas poszukiwał czynnego telefonu. Kiedy wreszcie zawiadomił milicję i nadjechał radiowóz — minęło już kilkanaście bezcennych minut. Można było szukać wiatru w polu! Na świadków zajścia zgłosiły się tylko dwie osoby. Reszta wolała nie ujawniać swoich nazwisk.

Drugi świadek, prządka Stanisława S., nie wniosła właściwie nic nowego do sprawy.

Wacław G. po kilku godzinach zmarł w szpitalu. Sekcja zwłok wykazała:

„Rany tłuczone śluzówki warg, zasinienia na wargach, wylewy krwawe w tkance podskórnej głowy, klatki piersiowej i w mięśniach skroniowych, złamane kości czaszki, wylewy krwawe nad—pod— i śródoponowe oraz do mózgu, obrzęk mózgu".

Opinia biegłego — lekarza brzmiała:

„Denat zmarł śmiercią gwałtowną na skutek wylewów wewnątrzczaszkowych, które powstały od działania narzędzia tępego ze znaczną siłą".

Rozpoczęło się długotrwałe i żmudne śledztwo. Okazałem świadkom dziesiątki osób, które można było brać w rachubę jako ewentualnych sprawców zajścia. Milicja dokonywała czynności operacyjnych na szeroką skalę. Na całe tygodnie zaangażowano do sprawy cały zespół specjalistów. Ustaliłem nawet osobę, co do której zebrałem stosunkowo najpoważniejsze poszlaki. Cóż z tego, kiedy świadkowie sami nie byli pewni, jak bandyci wyglądali. Wszelkie, różnorodne wysiłki nie przyniosły rezultatu i w końcu, wyczerpawszy wszelkie dostępne mi środki, z ciężkim sercem umorzyłem sprawę z powodu niewykrycia sprawców.

Na szczęście wypadki, gdzie przestępcy pozostali nie ujęci, należą do sporadycznych. Są to przeważnie sprawy o podłożu chuligańskim, kiedy zbrodniarze zabijają, ranią i kaleczą ludzi jedynie dla samej PRZYJEMNOSCI. Oto sprawa Władysława Z. zamordowanego bez żadnej przyczyny w bramie własnego domu, oto sprawa zabójstwa Mariana Z., który na ulicy został uderzony żelazną rurką w głowę. Oto młody, 16-letni chłopak, którego w biały dzień, w centrum miasta, nieznani chuligani uderzyli jakimś narzędziem w głowę, wówczas, gdy schylony, sznurował sobie buty. Chłopak nie wie, kto go uderzył. Ocknął się z omdlenia dopiero po paru minutach. Doznał złamania kości oczodołu, stracił oko. Nie będę przytaczał dalszych, ponurych przykładów.

We wszystkich przytoczonych wyżej sprawach przestępcy pozostali nie ujęci, chociaż dopuścili się zbrodni wobec świadków. Niestety, świadkowie ci nie tylko pozostali bierni lub zareagowali w niedostatecznym stopniu, ale nawet nie zdołali zapamiętać wyglądu bandytów, aczkolwiek było to możliwe.

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY

MAGAZYN
ODGŁOSY

REKLAMA, REKLAMA...

Rola reklamy w dużym mieście, a Łódź jest przecież miastem ogromnym, jest bezsporna, toteż nie tylko nie powinno się jej kwestionować, lecz z całą powagą podchodzić do całości zagadnień związanych z tą ważną i ze wszech miar twórczą działalnością. Chodzi tu przecież o kształtowanie bieżących i długofalowych kontaktów między gospodarką a konsumentem. Reklama ma tu być więc traktowana jako trwałe narzędzie polityki rynkowej. I być powinna rozsądnie rozumianym propagatorem rozwoju jaki stale osiąga nasza socjalistyczna gospodarka. Słowem: skuteczność działań rynkowych jest podstawą działania reklamowego. Tymczasem w Łodzi nie wszyscy jeszcze rozumiemy sensu owych działań. Spotykamy się przeto z objawami niedbalstwa. Na przykład ówczesny „Eldom" pozostawił po sobie nieaktualne, rażące starością wizerunki swojego byłego istnienia na kilku ścianach domów w śródmieściu. A dzisiejszy „Arged" nie dba o zaktualizowanie sprawy. Nie rozumiany jest tutaj jeden z aspektów reklamowych — reklama uliczna, mająca być jednym z elementów określających wygląd miasta poprzez spełnianie roli kulturotwórczej oprócz wiadomej roli informacyjnej.

— Rzetelność reklamy i informacji zależy od błyskawicznego działania — powiedział do mnie dyrektor Państwowej Agencji Reklamowej w Łodzi, **mgr Zenon Majchrowicz.** Oczywiście zgadzam się z tą pełną prostoty prawdą. Kiedy prawie dwa lata temu, również na łamach „Odgłosów" w artykule zatytułowanym „Gdzie jest reklama?" pisałem o tej Agencji, nazwałem ją: Biurem Zleceń Zleconych Innym Wykonawcom. Ta przydługa nazwa pasowała do drogi, jaką przebywają zlecenia od źródła, poprzez Agnecję, do ich wykonawców. Niemniej zubożyłem poniekąd rolę samej Agencji jako rzecznika działań reklamowych, ale przytłaczał mnie fakt — i jest tak też dzisiaj, że Agencja w Łodzi sama boryka się z wieloma trudnościami, głównie lokalowymi, i że jej działalność, a zatem istnienie, uzależnione jest od współpracy z kooperantami — choćby takimi jak drukarnie. Na szczęście współpraca z kooperantami układa się bardzo dobrze i Agnecja nie ma kłopotów z wykonywaniem planów. Podajmy dla informacji, że zadania w roku 1972 zostały tu wykonane na sumę 22,5 mln złotych, a już dzisiaj ta suma jest dwa razy większa. Mimo to Agencja nie ma możliwości na całkowite rozwinięcie swych skrzydeł i czasami boi się zleceń, których wykonanie utrudniają warunki lokalowe. W ramach wykonywania zdjęć do katalogów (łódzkiego i kieleckiego Domu Sprzedaży Wysyłkowej) oraz do innych wydawnictw, musi przyjąć sporo cennego towaru, którego nie ma gdzie i jak zabezpieczyć przed zniszczeniem. Tak więc Agencja Reklamowa w Łodzi nie jest w pełni przygotowana do roli, jaką ma spełniać, a przecież lista zleceniodawców zwiększyła się o przemysł. Mimo to działa ponadplanowo co sugeruje o doniosłości jej znaczenia w mieście i należy pomyśleć o właściwej organizacji pracy we właściwych warunkach.

— Starania o lokal toczą się bezustannie — zapewnia dyrektor Majchrowicz. — Wierzę bo mówiliśmy już o tym w przeszłości i wzmiankowałem o sprawie we wspomnianym wyżej artykule. Ale sprawy typowo urzędowe lubią długo nabierać mocy. Jakbyśmy w Łodzi, kolebce przemysłu lekkiego, gdzie ponadto nie brakuje przedsiębiorstw handlowych, nie musieli mieć z prawdziwego zdarzenia Agencji Reklamowej, a co za tym idzie, właściwie przeprowadzanych działań reklamowych. Czyżby nam miały wystarczyć neony na Piotrkowskiej?...

W tych kilku słowach o reklamie, pragnę jeszcze zwrócić uwagę na prężną działalność reklamową Łódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Odzieżą. Od dłuższego już czasu współpracuje to przedsiębiorstwo z Estradą Łódzką i organizuje imprezy artystyczno-handlowe, a więc reklamowe dla swoich klientów. Są to imprezy cykliczne. Ostatnio odbyła się w amfiteatrze widzewskim — „Na letnie dni" i stała się niezapomnianym obrazem tego, co ŁPHO oferuje i jak życzliwie traktuje swoich klientów. Nie mniej poważnie podchodzi do tej sprawy Estrada Łódzka zapewniając dobrych wykonawców. A więc gratulacje dla obu stron.

AWM

WENUS–75

Fot. J. Bornstedt

TADEUSZ GICGIER

POWRÓT Z WYCIECZKI

Ani się spostrzegliśmy, gdy zostaliśmy sami nad rzeką. Zacząłem zbierać z koca wycieczkowy ekwipunek, robiłem to jednak z z ociąganiem i bez przekonania: właściwie dopiero teraz można było wypoczywać, kiedy ucichły wrzaski brzechczących się w wodzie dzieci i chlapiących się wodą dorosłych. Rzeka zaplusk ała u brzegu, pierwszy raz dzisiaj dosłyszałem ten plusk, nie zagłuszony krzykami i jazgotem odbiorników tranzystorowych. Sięgnąłem po wysłużonego „Kolibra" (cóż znaczył jeden dodatkowy aparat w kakofonii dziesiątków aparatów?) i włożyłem go do teczki. Żona poprawiała makijaż, mogłem więc jeszcze spokojnie wyciągnąć się na kocu. Zresztą do odejścia ostatniego autobusu mieliśmy bite pół godziny.

Gdy ruszyliśmy w powrotną drogę, słońce dotknęło właśnie powierzchni rzeki, a kiedy dobiliśmy do szosy — zanużyło się całkowicie w rzece. Stwierdziłem ze zdumieniem, że wszystko to odbyło się bez najmniejszego hałasu. Maszerowaliśmy dziarsko, ale droga zaczęła się wydłużać, podsuwać nam kamienie pod nogi i robić inne złośliwości, zupełnie tak, jakby nabrała cech ludzkich. W chwili, gdy skonstatowałem, że do odjazdu autobusu pozostało nam dziesięć minut, w zaroślach przy szosie rozległ się przejmujący lament. Rzuciliśmy się na pomoc, rozgarniając na oślep krzaki i drapiąc sobie ręce. W olszynowej kępie siedziała owca i beczała rozpaczliwie. Pewnie odbiła się od stada i teraz nie wiedziała, jak do niego dołączyć. Zawiedzeni wróciliśmy na szosę, no bo jak tu dopomóc owcy? Jednakże żona, wrażliwa na wszelką niedolę, znalazła i na to sposób: przykazała napotkanym po drodze dzieciom, aby dały znać do wsi, że w zaroślach znajduje się zbłąkana owieczka. Całkiem jak w ewangelii.

Ostatni autobus, oczywiście, odjechał. Pocieszyliśmy się jednak tym, że to samo spotkało drugą parę: sympatyczną blondynkę z mniej sympatycznym, jak mi się wydało, blondynem. Zapewne spotkali też jakąś owcę, a może barana.

Blondyn zaproponował, by wynająć wspólnie taksówkę do pobliskiego miasteczka, skąd mielibyśmy jeszcze połączenie kolejowe. Skwapliwie przystałem na tę propozycję, ale wtedy okazało się, że właściciel jedynej w osadzie taksówki wypił z racji wolnej soboty trochę więcej niż poprzedniego dnia i nie może chwilowo zasiąść przy kierownicy. Żona taksówkarza zapewniła nas jednak, że mąż zaraz wytrzeźwieje, a ponieważ żony wiedzą wszystko najlepiej, uspokojony stanąłem przy murku i oddałem się kontemplacji. Wtedy blondyn wkroczył niespodziewanie w akcję i zatrzymał przejeżdżającą właśnie „okazję": „Trabanta" prowadzonego przez pana w średnim wieku. Para usadowiła się w samochodzie, kiedy jednak my chcieliśmy uczynić to samo, pan w średnim wieku grzecznie przeprosił, że jest to niemożliwe, ponieważ nie chce mieć do czynienia z „lotną". Może zabrać jeszcze tylko jedną osobę, ewentualnie panią.

Podziękowałem równie grzecznie i wróciliśmy pod murek. Żona zaczęła mnie pocieszać, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Z takim „Trabantem" to nigdy nie wiadomo, bo on jest z tworzyw sztucznych i przy byle kraksie rozpada się na drobne kawałki...

Nie przypuszczałem, że ta wiedza przyda mi się w nocy. Bo kiedy w końcu zatrzymałem autokar z wycieczką i wróciliśmy do domowych pieleszy, przez całą noc śniły mi się samochody. Wszystkie nas mijały, w każdym za kierownicą siedział pan w średnim wieku i uśmiechał się tyle uprzejmie, co ironicznie. Nagle spostrzegłem, że na pobliskiej łące stoi mnóstwo zaparkowanych samochodów. Podjąłem dramatyczną decyzję: ukradnę samochód i tak wrócimy do domu. Zacząłem kluczyć między wozami, wreszcie wybrałem jeden z nich i nawet bez trudu otworzyłem drzwiczki, kiedy spostrzegłem, że siędzę w „Trabancie". Uciekłem z niego jak oparzony. Na szczęście, obok stała poczciwa i niezbyt oporna „syrenka"...

Rano ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Kiedy je otworzyłem, ujrzałem dwóch funkcjonariuszy milicji. „Czy obywatel Badalski?" — zapytali. — „Tak jest" — odpowiedziałem zgodnie ze stanem faktycznym. „Obywatel ukradł tej nocy samochód. Prosimy z nami".

Włożyłem spodnie i poszedłem. A czasem narzeka się na nieporadność naszej MO.

PŁYTY

PIERWSZA PŁYTA FILHARMONII ŁÓDZKIEJ

Polskie Nagrania opublikowały w ostatnim czasie aż trzy płyty z polskimi symfoniami. Dobrze, że się tak stało, bowiem któż ma nagrywać naszą polską muzykę, wciąż mało znaną nie tylko w świecie, ale i kraju, polską symfonikę, jeśli nie Polskie Nagrania? Mamy więc na płytach Muzy Symfonię h-moll „Polonia" Ignacego Jana Paderewskiego (SXL 0968), Symfonię e-moll „Odrodzenie" Mieczysława Karłowicza (SXL 1072), obie od Bohdanem Wodiczką, z Orkiestrą Filharmonii Pomorskiej. Mamy też II Symfonię B — dur op. 19 Karola Szymanowskiego, nagraną przez Orkiestrę Państwowej Filharmonii w Łodzi pod dyrekcją Henryka Czyża (SXL 0981). II Symfonia K. Szymanowskiego nie jest dziś utworem, który by czymkolwiek szokował. Dzieło to przemawia do nas językiem wywodzącym się z neoromantycznej symfoniki niemieckiej (R. Strauss) i rosyjskiej (A. Skriabin), od dawna dobrze znanym słuchaczom koncertowym. Nie jest utworem, który zapowiadałby przyszłą ewolucję kompozytora, w którym można byłoby się dopatrzyć zapowiedzi jego późniejszych idei, tych, które rozwinie w swojej twórczości w okresie od I Wojny Światowej. Nie jest to bowiem Szymanowski I Koncertu skrzypcowego, ani „Stabat Mater". II Symfonia raczej podsumowuje osiągnięcia kompozytora z pierwszego okresu jego twórczości, tego, który chociaż nie obfitujący w dzieła znaczące, na miarę późniejszych, oznaczał przecież zbliżanie się polskiej twórczości do tego, co wówczas działo się w świecie, wyzwalanie się z epigonizmu. Nie jeden Szymanowski to czynił, nie zapominajmy o przedwcześnie zgasłym talencie M. Karłowicza.

II Symfonia K. Szymanowskiego jest utworem urzekającym (przynajmniej mnie: lubię takie szerokie tematy, rozwijające się w sposób logiczny, oddech tej muzyki) o dość finezyjnej budowie. Jest dziełem dwuczęściowym, ale czy w jego budowie nie doszukalibyśmy się... jak gdyby wszystkich części tradycyjnej symfonii? Część pierwsza to allegro, mające wiele uroku przede wszystkim dzięki pięknemu, śpiewnemu pierwszemu tematowi, rozwijającemu się w kolejnych przetworzeniach. Część druga to temat z wariacjami: pierwsze powolne jak gdyby zastępowały wolną część klasycznej symfonii, następne w szybszych tempa — czyż nie można by ich uznać za odpowiednik klasycznego tańca, któryśmy zwykle słyszeli w części trzeciej? Wreszcie wariacja ostatnia — z wielką fugą i finałem.

Błyskotliwy ten utwór wprowadził na estrady Grzegorz Fitelberg, który jest też współtwórcą jego drugiej, grywanej dziś, redakcji. Przed wieloma laty Polskie Nagrania wydały płytę z nagraniem tego dzieła dokonanym właśnie przez G. Fitelberga z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia (L 0056), dziś dawno wyczerpaną, ale — kto ją ma, to o tym wie — wcale znośną technicznie, zaś pod względem artystycznym bardziej niż interesującą. Jest to cenna pamiątka po wielkim, zmarłym w 1953 r., dyrygencie, która nie może przecież zastąpić nowoczesnego nagrania. Podjął się go H. Czyż z łódzkimi filharmonikami i zrealizował z pełnym powodzeniem. Jego II Symfonia różna jest od Fitelbergowskiej: jest jakby mniej straussowska, bardziej kolorystyczna, dynamiczna, tak jakby artysta odczytał ten utwór przez pryzmat ...muzyki nie niemieckiej, ale francuskiej XX stulecia. Więc mamy wykonanie bardzo ciekawe, sukces dyrygenta i doskonale grającej orkiestry. Nadto płyta jest pod względem akustycznym bez zarzutu, co nie jest zjawiskiem częstym w Polskich Nagraniach. Jednak odbitki pozostawiają wiele do życzenia: dopiero trzecia okazała się znośna. Nagranie Symfonii uzupełniają Pieśń Roksany i Etiuda b-moll, obie w instrumentacji G. Fitelberga.

XYZ

KANIKUŁA

W sklepach z płytami — pusto. Nic dziwnego: lipiec, sierpień — to miesiące, w których magazyny muzyczne mają najmniejsze ubytki. A półki tymczasem uginają się pod czarnymi krążkami w kolorowych okładkach. Może więc — mimo kanikuły — warto obejrzeć koperty (nadal rzadko robione z polotem) i posłuchać niektórych nagrań.

Oczywiście — biorąc pod uwagę pogodę — przydałoby się „Ciągle pada", ale longplaya Czerwonych Gitar — mimo stutysięcznego jak dotychczas nakładu — już brakuje. Na szczęście pracują tłocznie w Pionkach, a skoro na swej ostatniej płycie „CG" śpiewają, że „jeszcze dzień, najwyżej dwa — wszystko się odmieni", miejmy nadzieję, że stanie się tak istotnie. Póki co — mamy z nowości m. in. dwie płyty długogrające, które oczy klientów ujrzały w czasie tegorocznego festiwalu opolskiego.

Pierwszą z nich nagrała gwiazda „Opola-74" — DANUTA RINN, zalotnie uśmiechająca się z okładki i pytająca za JANEM PIETRZAKIEM: „Gdzie te chłopy?" Z samej już okładki dowiedzieć się możemy, że repertuar — bardzo rozsądnie zresztą — doradzał piosenkarce WŁODZIMIERZ KORCZ, a poza tym, że do pierwszej z piosenek na stronie B muzykę skomponował A. BIANUSZ, zaś tekst napisał Ć. MAJEWSKI. Obaj wykonywali te czynności chyba po raz pierwszy w życiu, bowiem pierwszy z wymienionych jest tekściarzem, drugi — kompozytorem. A tak poważnie, to ten, kto pamięta znakomity recital DANUTY RINN w czerwcu br. w opolskim amfiteatrze (szkoda, że Telewizja Polska — świeć Panie nad jej monitorem! — przekazała tylko fragmenty tego widowiska) bez wahania kupi tę świetnie „wyśpiewaną" płytę. Chociaż ma ona — co tu dużo ukrywać — pewną zasadniczą wadę: fonia jest bez wizji.

Fot. Archiwum

Drugi ze wspomnianych longplayów to kolejna (II) duża płyta wokalno-instrumentalnej grupy „HOMO HOMINI". Nagrano ją w grudniu ubiegłego roku, jeszcze w poprzednim składzie osobowym zespołu, i już (!) na przełomie czerwca i lipca można było ją nabyć. ALEKSANDER NOWACKI i jego koledzy zaprezentowali szereg utworów, które mają odzwierciedlać drugi etap działalności „HOMO HOMINI", niemniej wydaje się, że poprzedni long (nb. wydany przez „Polskie Nagrania" również o ponad rok za późno) był bardziej udany. W obecnie przedstawionym do oceny słuchaczy, country rockowej muzyce czegoś brakuje: teksty — nienadzwyczajne, pewna monotonia brzmienia, mało odkrywcze kompozycje. Z rezerwą odnieść się trzeba także do intensywnie barwnej, ale fatalnie zaprojektowanej obwoluty. „HOMO HOMINI" obiecują, że następna płyta będzie lepsza. I z tego, co aktualnie robią — można wnioskować, iż faktycznie tak będzie.

Tyle o naszych rodzimych „produktach". Ostatnia bowiem z płyt, o których chcę dzisiaj wspomnieć, została przez „Polskie Nagrania" zaadaptowana z Wielkiej Brytanii. Zawarte tam utwory nagrał KEITH EMERSON ze swą grupą „THE NICE". Wszystko w porządku — wiemy, co gra się na Zachodzie. Tyle tylko, że zespół „The Nice" rozpadł się w końcu lat sześćdziesiątych, a jego leader przez pięć następnych lat zdążył grać w trio wraz z LAKE'M i PALMEREM. Idziemy więc z duchem czasu — nie ma co.

K.D.

ZE WSPOMNIEŃ ROZWODNIKA

Droga Musieńko!

Zapytujesz mnie w ostatnim liście, dlaczego się rozwiodłem.

Mógłbym ci odpowiedzieć po sędziowsku: „Uchylam to pytanie".

Mógłbym ci odpowiedzieć stereotypowo: „Charaktery nasze nie zgadzały się".

Mógłbym ci odpowiedzieć patetycznie: "Jak Dant za życia — przeszedłem przez piekło..."

Nic podobnego. Bezpośrednią przyczyną mego rozwodu był... krawat. Wiesz, taki jaskrawy, pasiasty, usłany miękko wśród piżam i desusów przeciętnej sklepowej wystawy — — —

Żona moja była stworzeniem na ogół nieziemskim. Przypiąć jej parę skrzydeł, a śmiało paradować mogła w charakterze aniołka na boticellowym obrazie Dała zresztą dowód swego anielstwa, ulatując ode mnie po upływie szesnastu miesięcy.

Mimo to miała sporo ludzkich upodobań i słabostek. By sprostać jej nieco wygórowanym pretensjom na punkcie męskości, starałem się przybrać wygląd możliwie uwodzicielski. W tym celu ściśle przestrzegałem czterech zasad ś.p. gwiazdora filmowego Adolfa Menjou:

1. Nosiłem szelki, aby uwydatnić nienaganne fałdy moich pantalonów.

2. Zmieniałem systematycznie aster w butonierce.

3. Nie pokazywałem się na ulicy z odkrytą głową.

4. Goliłem się codziennie.

Ubierałem się przy tym z wyszukaną elegancją. Pantofle moje przylegały ściśle do nagniotków, wcięty dwurzędowy tużurek był ostatnim krzykiem mody paryskiej, półsztywny zaś kołnierzyk ciążył jak przycisk na moim trzecim podbródku.

Gorzej było z krawatem. Był on jedynym dysonansem w tej idealnej szewsko-krawieckiej harmonii. Skupywany hurtowo, kiedy się stale to z kratką koszuli, to z deseniem marynarki, to z przyrodzoną czerwonością mego nosa...

Aż pewnego razu, mijając korso, stanąłem oczarowany. Z witryny magazynu mód „A la ville de Londres" śmiał się do mnie krawat: unikat swego rodzaju, wyjątek potwierdzający dotychczasową regułę.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na garnitur, wpadłem jak bomba do sklepu. Uszczęśliwiony zapłaciłem, uścisnąłem gorąco dłoń osłupiałego kupca — i co krok wyskoczy pognałem do domu.

Przymierzyłem krawat przed zwierciadłem. All right. Z miejsca zauważyłem, jak wargi moje wykrzywia nieco głupawy, zadowolony grymas. A ponieważ nie mogłem sam siebie poklepać po ramieniu, więc uczyniłem to w lustrze.

Nazajutrz pojechałem do Krynicy, gdzie żona wypoczywała na łonie swojej najbliższej rodziny. Lało jak z cebra, po czym niebo rozpogodziło się, a na firmamencie zawisła pasiasta tęcza. Studiowałem wnikliwie jej barwy. Porównanie wypadło bezsprzecznie na korzyść nowego krawata.

Z bijącym sercem zapukałem do drzwi. Żona otworzyła mi, uśmiechnęła się anielsko: „Jak się masz?" — i dodała po chwili: „Co za wstrętny krawat"

Byłem spiorunowany tym bezapelacyjnym osądem. Śniadanie jadłem bez apetytu, na spacerze odwracałem się ostentacyjnie od cudów podkarpackiej przyrody.

Podczas obiadu zauważył szwagier:

— Masz bardzo elegancki krawat!

— Tak jest, rzeczywiście — przytaknęła żona i rzuciła pod moim adresem:

— Widelca nie przekłada się z lewej ręki do prawej...

Podczas sjesty poobiedniej doszło do walnej rozgrywki:

— Co to ma znaczyć?! — zagadnąłem stanowczym tonem.

— A mianowicie?

— Twoję dwoiste zdanie o krawacie...

— Krawat jest bardzo ładny — odparła rzeczowo. — Nie podoba mi się jedynie dlatego, że... ty go nosisz.

Stało się. Do trzech miesięcy byliśmy rozwiedzeni.

Sędzia rozwodowy wzruszał wprawdzie ramionami, dociekając głębszej przyczyny naszego nieporozumienia...

Mądrala! Spróbowałby on poślubić anielicę, ubierać się a la Adolf Menjou i godzinami uganiać się za odpowiednim krawatem...

HORACY SAFRIN

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 Telefony 852 44 217-98 oraz 293 00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 1712. U-3. Nr indeksu 37006/36762.